Nr. 30 (1385). Warszawa, 27 Lipca 1907 r. Rok XXVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: **Wspólna Nr. 17. Telefonu 7388.**

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Bez złudzeń.

Poważną tamą w rozwoju socyalizmu u nas i poważną przyczyną jego zdyskredytowania się w ostatnich czasach jest nietylko krótkowzroczna taktyka jego rzeczników i ich sekciarska ciemnota umysłowa, ale także stale przez nich używane w walce wszelkie postacie kłamstwa i potwarzy. Pomimo wielokrotnych i bardzo smutnych doświadczeń tkwią oni ciągle w zaślepieniu, ze są to skuteczne środki propagandy, że sumienna rzetelność słowa uszczupliłaby ich wpływ, że oni muszą zniesławiać i spotwarzać wszystkie warstwy burżuazyi dla utrzymania świadomości robotnika w „czystym stanie wyodrębnienia klasowego", że jego łatwowierna ciemnota przyjmie z ufnością każdy ich wymysł. Do jakich zaś granic sięgnąć może to paszkwilowanie rzeczywistych i urojonych przeciwników przekonały oszczercze i brutalne wystąpienia agitatorów socyalistycznych na wiecach postępowych, gdzie im pozwolono rozkiełznać sobie języki, przekonywują również polemiczne artykuły ich pism. Każdy wyraz tego podrobionego derwiszostwa był albo ordynarnem kłamstwem, albo ordynarną obelgą. Ci reformatorowie świata, którzy piętnowali wszystkich po za swoją czeredę za obłudę i zniesprawienie mowy publicznej, robili z niej najniegodziwszy użytek. Przodowała w tem furyactwie Socyalna Demokracya.

Jeżeli celem tej grupy jest wyłączenie się ze społeczeństwa i zbudzenie przeciwko sobie nienawiści, to trzeba przyznać, że osiągnęła ona go w zupełności. Żadna inna u nas partya nie „wygrodziła się" do tego stopnia odrazą wszystkich innych żywiołów społecznych, jak ta. Zanikło w niej doszczętnie uznanie jakiejkolwiek wspólności z resztą narodu, zanikły wszelkie pierwiastki uczuciowe, zanikł idealizm apostolstwa — pozostała tylko bezwzględna, pozbawiona skrupułów i kultury napastniczość. Zdaje się, że jedyną jej działalnością i jedyną ambicyą jest możliwie najenergiczniejsze plucie, omazywanie błotem i brutalne szarpanie najwrażliwszych strun ogółu.

Naturalnie, ażeby upozorować racyę napaści i wymyślań, trzeba koniecznie pod czyny potępiane podkładać jak najniższe pobudki. Rzeczywiście, Socyalna Demokracya naszego chowu nie zbacza nigdy z tej drogi. Cokolwiek zrobią lub powiedzą „burżuje", zwłaszcza radykalni, to zawsze według niej wypłynęło z brudnego źródła, zawsze jest zamaskowaną przewrotnością. Czytelnicy znają propozycyę Lednickiego, który zalecał utworzyć delegacyę polską do przyszłej Dumy z przedstawicieli wszystkich stronnictw, nie wyłączając socyalistów. Zdawałoby się, że już ta rada będzie zabezpieczona od ataków z lewego krańca. Gdzie tam! Niedaremnie mądrość, cnota i posłannictwo zbawienia świata przeniosły się zupełnie do baraku Socyalnej Demokracyi. Lednicki a wraz z nim cała Demokracya Postępowa otrzymała patent przebiegłej handlarki, która spekuluje na mandaty i tym manewrem pragnie otrzymać „cząstkę władzy politycznej". Można chyba pozostawić bez rozbioru ten najnowszy koncepcik, który dojrzał jakąś „władzę polityczną" w 11 posłach polskich, mających nią podzielić się z 500 rosyjskimi. Natomiast trzeba pozbyć się złudzenia, ażeby dzisiejsze partye socyalistyczne u nas z wyjątkiem Proletaryatu, który jest między niemi najsłabszy, były zdolne do jakichkolwiek sojuszów. Demokracya polska powinna wyrzec się tej iluzyi i zaniechać usiłowań w tym kierunku, a zwłaszcza nie łączyć t. z. „esdeków" ze swymi zamiarami i przedsięwzięciami. Niech grasują sami, zdala od niej. Dobro ludu musi być ciągle jednym z najważniejszych celów jej pracy, zabiegów i walk; socyalizm, krytycznie przyjęty i stosowany, musi dostarczać jej wskazań; ale wszelkie jego ślepe fanatyzmy, drapieżne natarcia i waryackie hasła, wszelkie skostnienia myśli i szczepienia nienawiści, wszelka ortodoksya i bigoterya, oparta na nieomylnym papizmie marksowskim — wszystko to musi być rzucone do tej szopy, w której historya składa szare, zużyte sprzęty, nieprzydatne zupełnie do rozwoju kultury.

Skutki chyba już dostatecznie wykazały, co warte jest „wyciąganie dłoni" ku ludziom i stronnictwom, obłąkanym partyjnością, dogmatyzmem teoretycznym i parafiańszczyzną polityczną. Rezultat takiej szlachetności jest zawsze jeden: dostarcza okazyi do urągań i zniewag. Jest to dla nas przypuszczeniem, leżącem po za wszelką wątpliwością, że kiedyś wytworzy się u nas socyalizm polski, który odetnie się zarówno od patryotycznej gerylasówki, jak od kosmopolitycznego wichrzycielstwa. Z nim żywioły postępowo-demokratyczne wejdą w przymierze. Tymczasem niech idą same, niech w sobie wyrabiają siłę i nie oglądają się na sojuszników, którzy im nie dadzą ani dobrej woli, ani pomocy.

Druga konferencya pokojowa.

(Dokończenie.)

Przechodząc do streszczenia dotychczasowych prac konferencyi, zaznaczyć musimy, że zaproszono tym razem przedstawicieli rzeczypospolitych środkowo - i południowo - amerykańskich, których przed 8 laty nie zapraszano. Stany Zjednoczone podjęły się wprowadzenia na porządek dzienny doktryny Drago, która nie pozwala uciekać się do siły zbrojnej dla ściągania długów. Wniosek ten, powstający przeciwko stosowaniu siły zbrojnej do zatargów finansowej natury, niektóre mocarstwa europejskie przyjęły wrogo. Nie wróżą mu też powodzenia. Wybitne miejsce w pracach konferencyi zajmuje sprawa urzeczywistnienia pośrednictwa międzynarodowego, jako instytucyi obowiązkowej, wbrew życzeniom pewnych mocarstw, domagających się zachowania wyjątku sformułowanego w r. 1899, że niewolno jest narzucać obowiązkowości pośrednictwa tam, gdzie w sposób zasadniczy dotknięte są interesy żywotne i „godność narodowa". Postanowiono wyjaśnić, czy dopuszczalnem jest, aby jedno państwo pozywało drugie przed trybunał międzynarodowy w Haadze, czy też na sprawy takie potrzebna jest zgoda zabopólna. Z ogólnego biegu prac komisyi wnosić można, że i tym razem idea sprawiedliwości nie zatryumfuje i że co najwyżej udoskonalona zostanie instytucya komisyi śledczych.

Największe szanse pomyślnego i zasadniczego rozstrzygnięcia mają na konferencyi zagadnienia, dotyczące praw i obowiązków mocarstw neutralnych.

Do jakiego stopnia niedoskonałe są przepisy, istniejące w tej dziedzinie, dowiodła wojna ostatnia.

Konferencyę haaską zajmuje również pytanie o konfiskacie własności prywatnej; Ameryka złożyła w tej sprawie wniosek, dotyczący nietykalności okrętów handlowych stron wojujących, wniosek, omawiany przez uczonych i dyplomatów już od 150 lat.

Jeden z najlepszych znawców prawa międzynarodowego, prof. Edward Neos, dowodzi, że taktyka rozbójnicza, stosowana, do własności prywatnej, zawsze szkodę przynosiła obu stronom, że przypomnimy tu słowa Palmerstona: „żadnego wielkiego mocarstwa nie pobito jeszcze przez rujnowanie jego spokojnych obywateli".

W głosowaniu w 4 komisyi nad wnioskiem amerykańskim w sprawie tej, zwróciło powszechną uwagę, że Włochy oraz wszystkie mniejsze państwa europejskie z wyjątkiem Portugalii, głosowały z Ameryką i Niemcami, Rosya zaś z Anglią i Francyą. Wynik głosowania przedstawił się jak następuje:

Za wnioskiem Choatego głosowały: 1) Niemcy, 2) Austrya, 3) Belgia, 4) Dania, 5) Grecya, 6) Włochy, 7) Norwegia, 8) Szwecya, 9) Holandya, 10) Szwajcarya, 11) Stany Zjednoczone, 12) Brazylia, 13) Kuba, 14) Republika Dominikańska, 15) Equator, 16) Haiti, 17) Urugwai, 18) Chiny, 19) Persya, 20) Syam, 21) Turcya.

Przeciw wnioskowi głosowały: 1) Francya, 2) Wielka Brytania, 3) Hiszpania, 4) Japonia, 5) Kolumbia, 6) Meksyk, 7) Panama, 8) Portugalia, 9) Rosya, 10) Czarnogóra.

Wstrzymali się od głosowania pełnomocnicy: Republ. Chilijskiej, Serbia, Rumunia, Luksemburg i cały szereg państw amerykańskich nie uczestniczyły w głosowaniu.

Pełnomocnik rosyjski Martens stwierdził wtedy, że delegaci głosujący za wnioskiem Choatego reprezentują terytorya zamieszkałe przez 804 milionów mieszkańców, w czem jednak 400 milionów chińczyków, podczas gdy delegaci, którzy głosowali przeciw wnioskowi Choatego reprezentują ludność 729 milionów.

Anglik Forster, reprezentujący Chiny, uczuł się imieniem Chin dotknięty wywodami Martensa, mandaryn Lu-Ceng-Clang w bardzo nawet gwałtownych słowach zaprotestował przeciw lekceważeniu chińczyków, zawartemu w słowach Martensa.

W przemówieniu przeciwko wnioskowi amerykańskiemu pełnomocnik angielski sir Ernest Satow nie wahał się użyć ironicznego porównania, że kto przestrzega przykazania ósmego: „nie kradnij"!, a bez ceremonii narusza przykazanie dziesiąte „nie pożądaj cudzego dobra", ten nie może o sobie twierdzić, że stosuje się do przykazań Boskich.

Gwoździem obrad konferencyi miał być wniosek angielski w sprawie ograniczenia zbrojeń. Czytelnicy „*Prawdy*" zapewne pamiętają, jak przed tygodniem premjer angielski Campbell Bannerman uroczyście potwierdził, że Anglia wystąpi z tego rodzaju wnioskiem.

Wobec jednak postawy nieprzychylnej zajętej od początku względem wniosku tego przez Niemcy, spodziewać się owoców praktycznych po tym wniosku było niepodobna; jakoteż przypuszczenia te się sprawdziły i odbyte d. 20 b. m. pełne zgromadzenie konferencyi pokojowej przyniosło zupełne rozczarowanie. Zapowiedziany wniosek angielski o ograniczenie zbrojeń nie został wniesiony wskutek decyzyi gabinetu londyńskiego, aby sir Edward Fry w dalszym ciągu prowadził rokowania w celu osiągnięcia jednomyślności mocarstw dla uchwalić się mającej rezolucyi.

Całe, pełne posiedzenie konferencyi wypełnione było tylko referatem Trzeciej Komisyi w sprawie zastosowania do wojny morskiej uchwał konwencyi genewskiej w sprawie o ochronie rannych i chorych. Referentem był trzeci delegat francuski Ludwik Renault. Po krótkiej formalnej dyskusyi tekst nowej konwencyi uchwalony został jednomyślnie.

Wniosek angielski w sprawie rozbrojenia przedstawiony będzie w formie powtórzenia postulatu z roku 1899 w sprawie ograniczenia zbrojeń. Forma odnośnej rezolucyi miała być jednak tak stanowcza, że kilka państw oświadczyło, iż nie mogłoby jej podpisać. Na propozycyę sir Edwarda Fry, ażeby państwa wystąpiły z wnioskami odpowiednich modyfikacyi, niektórzy pełnomocnicy oświadczyli, iż muszą oczekiwać na instrukcye od swych rządów. Oczywiście chodziło tylko o wywołanie zwłoki. Wniosek angielski przyjdzie pod obrady nie wcześniej jak w sierpniu. Konferencya potrwa wobec tego przynajmniej do 20 sierpnia.

Zatem spodziewać się wyników praktycznych pomimo jedwabnych słówek dyplomatów nie można: społeczeństwa burżuazyjne nie dojrzały jeszcze do antimilitaryzmu.

Karin Michaelis.

DUSZYCZKA.

Dwie kobiety siedziały wciśnięte w framugę okna, usiłując jaknajwygodniej umieścić swoje kolana; miejsca było mało, a obie potrzebowały światła do pracy. Alvilda naszywała bronzowe, męskie pantofle zielonemi paciorkami, Joanna szyła poduszeczkę na szpilki z jedwabiu bladoczerwonego i szafranowo - żółtego. W głębi, za zmiętą portyerą jutową, na której widne były ślady pierza i kurzu, siedziała na przewróconej szufladzie Estera i zwijała jedwab.

Panował bowiem w miasteczku zwyczaj, że dziewczynki ze szkoły kupowały u panny Trede pozaczynane robótki na podarki gwiazdkowe, lecz zawsze domagały się jedwabiu „w kłębuszkach", a ponieważ Estera miała dużo czasu, ona go zwijała.

Rozdzieliła sobie materyał na trzy części: osobno kładła jedwab do ściegu łańcuszkowego, który się łatwo plątał i sprowadzał na nią łajania, osobno jedwab do szycia, który się wrzynał w palce, a nareszcie całkiem oddzielnie indyjską pelę, miększą od wody mydlanej i bardziej włochatą i lśniącą, niż skóra kocia.

Pelę zwijała wolno, pieszczotliwie, przykładała sobie do twarzy, przesuwała po wargach. Barwa tego jedwabiu zależała od światła i ilości; pojedyncze nitki lśniły się, jak masa perłowa, całe pasma zaś miały ton ciemniejszy, jak ośrodki laku lub róży.

Niekiedy przestawała zwijać i spoglądała na obie kobiety dużemi, sennemi oczyma, chłonąc szary blask z okna, wychodzącego na podwórze.

Szelest kanwy, przesuwanie pereł z pudełka na koniec igły, odgłos ściegów i ocieranie się ramion o robotę tworzyły bezustanny szmer, niby brzęczenie owadów w samo południe letnie.

Ten dźwięk podniecał Esterę i wciąż nasłuchując, bezwiednie i bezmyślnie oddawała się wspomnieniom rzadkich chwil, spędzonych na świeżem powietrzu.

Ilekroć odezwał się dzwonek w sklepie, obie kobiety przebiegało radosne drgnienie. Jedna wybiegała, poprawiając po drodze włosy i kołnierzyk, druga, przechyliwszy głowę w tył, nasłuchiwała. Estera przenosiła się chwilowo na opróżnione miejsce z fartuszkiem, pełnym jedwabiu, którym się bawiła, układając go w cienie przy świetle.

Trwało to jednak zwykle bardzo krótko i znów wracała zwijać na swoje miejsce.

Kobiety przyzwyczaiły się pracować w zupełnem milczeniu: z jednej strony, aby zaoszczędzić przedmiotu do rozmowy na wieczorne przechadzki, a powtóre, ażeby uchronić uszy dziecka od ich cierpkiej filozofii życia.

W czasie posiłków, zastawianych na desce okna, na rozpostartej, bladoróżowej bibule, wypytywała się Alvilda o szkołę, koleżanki, a ponieważ Estera zazwyczaj odpowiadała półgębkiem, rozmowa przechodziła na inny temat.

Wzdychała tedy jedna, wtórowała jej druga; Joanna opowiadała o „grobie pamiątek przeszłości", a Alvilda o „sercu, zwiędłem z braku słońca", o „zielu zapomnienia" i „cichym spokoju grobu".

Najczęściej mówiły językiem, jak gdyby mającym zapach lawendy, który tylko one same rozumiały, lecz niekiedy jedna z nich chwytała nagle Esterę za ramiona i pytała: wiesz, o czem mówimy?

Na co dziecko, nauczone doświadczeniem, odpowiadało z niechętną naturalnością w głosie:

— Nie, co takiego?

Po zamknięciu sklepu, czytały dzienniki, poczem wdziewały okrycia i ruszały na przechadzkę po ciemnych ulicach miasteczka i jeszcze ciemniejszych alejach leśnych. Estera miała przykazane iść o trzy kroki naprzód, aby nie słyszała rozmowy starszych. Z urywków jednak, które wiatr jej przynosił, złożyła sobie strasznie smutną, nadzwyczajną historyę.

Jałowość i czczość treści wynagradzają sobie delegaci kongresowi świetnością formy konferencyi. Otwarcie konferencyi nastąpiło d. 15 czerwca w starożytnej sali rycerskiej w stylu wieku XIII, mieszczącej oprócz uczestników zjazdu (220 osób), mnóstwo gości i całą falangę korespondentów...

Pan prezes konferencyi Nelidow w słowie wstępnem wyraził: „żywą i głęboką radość z powodu, że widzi po raz pierwszy na przestrzeni historyi powszechnej delegatów wszystkich państw samodzielnych, gotowych wspólnie omawiać wspólny cel“, jednocześnie jednak zaznaczył, że „zapominać nie należy, iż istnieje cała serya przyczyn, gdzie dotknięty jest honor i godność narodów, które bez względu na następstwa, reagując na obrazę, nie uznają innej powagi nad własne przekonanie i własne pojęcie o słuszności swej sprawy.

Widzimy więc, że ludzkość znajduje się dość daleko od pośrednictwa obowiązkowego, którego setki tysięcy obywateli domagały się w masowych petycyach.

Do jakiego stopnia prace konferencyi haaskiej nie mają nic wspólnego z ideą pokojową i humanitaryzmem, dowodzi pomiędzy innemi epizod z deputacyą koreańską.

Korea została pozbawiona niezależności politycznej w stosunku do zagranicy siłą, nic też dziwnego, że cesarz koreański nie chciał uznać przedstawiciela Japonii za pełnomocnika Korei na konferencyi haaskiej i wysłał tam specyalne poselstwo.

Poselstwo to spotkane zostało z lodowatą obojętnością, a prezes konferencyi Nelidow nie przyjął go zupełnie, tylko przez lokaja powiedzieć kazał, że nie uznaje delegacyi koreańskiej za delegacyę koreańską, gdyż Koreę reprezentuje Japonia. Trudno o jaskrawsze ulegalizowanie bezprawia!

P. W.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kwestya socyalna

w oświetleniu zdrowego rozsądku.

„Digmun est, justum est salutare“.
([illegible] *mezalny*).

Zatarło się zdanie i pogląd, że ojcem socyalizmu, będącego, wyróżniającą cechą współczesnego ruchu robotniczego, jest Lassalle, Marx i Engels.

Jest to oczywiście figura retoryczna, której nie należy brać dosłownie. Socyalistyczny ruch robotniczy zrodziła historya.

Mogło nie być ani Adama Smitha, ani Ricardo'a lub Marxa i Engelsa, ich twierdzenia mogłyby być zupełnie fałszywe, kwestya socyalna istniałaby jednak; w tej samej postaci czerpie ona bowiem swą racyę bytu nie w teoryach ekonomicznych, lecz w wytworzonych przez historyę stosunkach społecznych. Ruch robotniczy, respective społeczny w zmienionej postaci, przystosowanej do środowiska społecznego swej epoki i miejsca, jest tak stary, jak stara jest społeczna organizacya ludzkości. Ślady jego dają się wykryć w starożytnym Egipcie, Assyryi i Babilonii, w Chinach starożytnych, w Rzymie, w epoce tyranów, walki patrycyuszów z plebejuszami, w epoce tryumwiratów i imperium, zjawia się on w epoce reformacyi pod postacią wojen chłopskich, aż w wielkiej rewolucyi francuskiej przybiera postać St. Just'yzmu i Babeuf'izmu. Niezależnie od rozmaitego jego zabarwienia, zależnie zaś od czasu i miejsca wybuchu, ten nieustający ruch społeczny mas, stanowiących większość, ma we wszystkich epokach pewne rysy wspólne: jest to zawsze walka głodnej, niedokarmionej większości z sytą, a raczej z przesyconą mniejszością, jest to zawsze walka mas upośledzonych i wydziedziczonych z uprzywilejowaną, w taki lub inny sposób, mniejszością społeczną.

Tem podobieństwem i tą wspólnotą zła w przeróżnych epokach tłomaczy się, że pomysły zaradcze reformatorów społecznych z różnych epok są dosyć zbliżone pod niejednym względem, a spostrzeżenia i refleksye przez nich przekazane są trafne i cenne dla obecnej doby dziejowej. Stosunki zewnętrzne różnych epok, przesączone przez mózgi Platona, Morusa Campanelli, Cabeta, Rousseau, Fouriera, Krapotkina, pozostawiają obok domieszek różnolitych wspólny jakby osad myślowy.

Takzwane „marzycielstwo“ i „utopijność“ tych lekarzy życia społecznego jest często tylko wyolbrzymioną dalekowzrocznością i przenikliwością, tak jak trzeźwość osławiona najczęściej się okazuje krótkowzrocznością i płytkością umysłową, zaprawioną ordynarnem samolubstwem. Życie dzisiejsze zmusza do urzeczywistnienia bez ceremonii już niejednej t. z. „utopii“, nie licząc tych wszystkich, jakie jeszcze pozostały do wykonania.

Ruch społeczny epoki współczesnej opiera się na dwóch faktach: na przywileju własności w postaci kapitału; na najmie pracy pozbawionych tego przywileju, zmuszonych podlegać temu despocie i tyranowi, jakim jest jedyny dziś monarcha—kapitał.

Zwracając uwagę na kwestyę socyalną ważnem okazuje się nie to, który ekonomista ma racyę: Marx, Brentano, czy Leroy — Beaulieu, lecz ważnem jest pytanie, czy rozumnem jest i praktycznem ażeby jedna część społeczeństwa nikczemniała i wyradniała w używaniu i nadużywaniu bogactwa, posuniętego do absurdu, a druga nikczemniała i wyrodniała w nędzy też posuniętej do absurdu, zupełnie tak jak gdyby głównym celem życia społecznego było doprowadzenie jego uczestników do tej ostateczności.

Przerost lokalny zaludnienia w łonie mniej więcej odosobnionych jeszcze i unieruchomionych społeczeństw sprawił, że dary przyrody nie mogły być dobytkiem wszystkich członków społeczeństwa, lecz

---

Przechadzka kończyła się najczęściej nad morzem, gdzie panie pociągały nosem w zawody i co wieczór powtarzały, że byłyby szczęśliwe, gdyby się znalazły na dnie morza.“

Za powrotem Alvilda przyrządzała dla dziecka posłanie na kanapce, stojącej w sklepie, za dnia służącej do siedzenia. Wtedy materac przykrywał haftowany dywan, który blakł coraz bardziej, a nie mógł znaleźć nabywcy, mimo ustawicznego obniżania ceny.

— Ostrożnie z lampą — a nie zapomnij odmówić Ojcze nasz —tylko nabożnie!—napominały małą. Po tego rodzaju czułem przemowieniu na dobranoc wychodziły panie na górkę—tu gnieździły się obie dziewice, racząc się jeszcze przed pójściem na spoczynek kawą.

Estera rozbierała się, składała rzeczy na ładzie i wskakiwała do łóżka. Z głębokiem namaszczeniem, z oczyma utkwionemi w papierowy abażur na lampie wiszącej odmawiała dwukrotnie całe Ojcze nasz, oddychała z ulgą, poczem boso szła cichaczem do okna, zdejmowała z zawiasów kluczyk i otwierała szufladkę z pieniędzmi.

Wziąwszy dwa öary— nigdy nie brała więcej—zawiązywała je w chusteczkę. Potem przywlekała wszystkie paczki z jedwabiem pod słabe światło, dobierała podług barw i odkładała po kilka nitek z luźnych motków. Odłożony jedwab owijała papierem i chowała między książki szkolne, które pełne były podobnych, małych pakietów.

Wracała potem do łóżka i zasypiała natychmiast.

Gdy posługaczka o szóstej z rana dobijała się do drzwi, wyskakiwała i zaczynała się uczyć zadanych lekcyj. Nic jej nie szło do głowy, ale przez poczucie obowiązku paplała, jak papuga z książki, póki o ósmej godzinie nie zjawiały się jej opiekunki. Rano bywały zawsze miłe i rozmowne, nieraz też zdarzało się, że Alvilda nazywała Esterę „swoim kochanym skarbem, nabytym w hańbie i trosce“. Od pieszczot uchylała się jednak Estera stale.

Idąc do szkoły kupowała za ukradzione dwa öary cukierków. W drzwiach magazynu przeliczała, czy było jedenaście, jeżeli nie, rozgryzała jeden, ale nie zjadała sama ani kawałka.

Wszedłszy do szkoły, coprędzej rozdzielała cukierki między koleżanki; w ten sposób kupowała sobie poniekąd spokój, że nie spytały się, ile lat ma jej siostra i dlaczego Alvilda już ma siwe włosy, albo czy to prawda, że jej ojciec umarł trzy lata przed jej narodzeniem.

Gdy się rozpoczynała nauka, okazywało się zawsze, że Estera lekcyi nie umie, ale słuchała w milczeniu wyrzutów nauczycielki, brzmiących mniej więcej jednakowo:

— Wstydź się Estero, ty, która w dodatku jesteś tu tylko z łaski.

Na wszystkich godzinach siedziała nieuważnie, mnąc w palcach miękkie nitki jedwabne—w klasie było dużo słońca—albo plotła z nich różnobarwne sznurki lub owijała je sobie około cienkich, białych palców. Nie umiałaby wyjaśnić dlaczego, ale sprawiało jej to wielką przyjemność.

Na przerwach najchętniej zostawała w klasie, a jeżeli ją zmuszano wyjść razem z innemi, opierała się o ścianę i bezmyślnemi oczyma wodziła za bawiącemi się koleżankami.

Chód miała lekki, niepewny. Ramiona przytulone do ciała podnosiła w górę, jakgdyby chciała w nie schować chudą szyję, wygiętą, niby szyja łabędzia—zresztą cała jej postać była pochylona.

Tylko gdy śpiewała w czasie porannej modlitwy, prostowała się w poczuciu swojej wyższości. Słyszała sama, że głos jej wyróżniał się ponad inne, był czysty i dźwięczny. Lecz śpiewała jedynie w szkole, w domu milczała, jak nieoswojony ptak w klatce.

Koleżanki nigdy nie zapraszały jej do siebie. Jedyną, która z nią miała ochotę żyć, była córeczka kowala ale, bo też i ona wraz z Esterą należała do paryasów.

Przestała jednak i do niej chodzić Estera od czasu, jak jeden z czeladzi rzeźnickiej namówił ją, żeby poszła z nim do stajni, a tam pokazał jej, jak się pałką zabija starego, ślepego konia.

Cały tydzień cieszyła się Estera na przyjście niedzieli, dnia Pańskiego, jak się wyrażała Alvilda, dnia, w którym dzwony dzwoniły, panowała cisza, spokój i swobo-

musiały stać się udziałem garstki najwięcej wyposażonej zaborczością, która zdołała ją obronić przed naporem wywłaszczenia.

Wzmożenie się ludnościowe coraz bardziej utrudnia utrzymanie własności orężem, siłą i dozorem. Dla ułatwienia zadania i ażeby mu sprostać, zachodzi potrzeba uciekania się do środków i hamulców, działających na wyobraźnię, wysnuwa się więc sankcyę religijną dla własności, otacza się ją nimbem świętości. Schodząc ze stanowiska policyjno-religijnego, świętość własności znika, a pozostaje nagi fakt, ewolucyjnie powstały w drodze stopniowania, począwszy od władania anonimowego niczyjemi dobrami przyrody, aż do osobistego, imiennego, nieograniczonego.

Własność niczyja z bezładną używalnością staje się wspólną i zbiorową, poddaną reglamentacyi, co do systemu używalności. Z biegiem czasu wspólnota zanika coraz bardziej na rzecz wyłączności i uprywatnienia we władaniu, aż wreszcie ten ostatni pierwiastek staje się dominującym. Wszystkie formy własności dziś jeszcze współistnieją obok siebie, rozsiane po globie ziemskim.

Uświęcona własność prywatna nie jest nią bezwzględnie i podlega przymusowemu wywłaszczeniu z motywów dobra publicznego, nie mówiąc już o konfiskatach z motywów politycznych. Prócz tego, jak obserwacya codzienna poucza i jak utrzymują nie bez słuszności, w dzisiejszej organizacyi świętej, nietykalnej własności tkwi zaprzeczenie jej nietykalności, skoro większy kapitał posiada zdolność wyzuwania z mniejszego i narastania kosztem tego ostatniego, nie mówiąc już o innych nadobnych jego przymiotach. Skoro większa własność nie szanuje nietykalności mniejszej i pochłania ją, to sama też nie może rościć pretensyi do nietykalnej świętości, zwłaszcza że absorbuje ona na swoją korzyść nietylko swą mniejszą siostrę, lecz i własność najwięcej prywatną i indywidualną, jaką są wytwory mięśni i mózgu bliźniego, pozbawionego innej własności. Tak się przedstawia własność w świetle krytyki wolnej od stanowiska policyjno-religijnego. Jeśliby teraz chodziło o odpowiedź nie na pytanie, czem jest własność, lecz na pytanie, czem ona być powinna, to ta odpowiedź wypadnie niemniej prosto i jasno.

Jeżeli przejść do porządku dziennego nad wrzaskliwym egoizmem faryzejskim warstw posiadających, utożsamiających wszędzie i zawsze swój interes prywatny z publicznym, to wypadnie odpowiedzieć, że własność i narzędzia wytwarzania nie powinny należeć do państwa, zwłaszcza do państwa, niebędącego ludowem i przedstawicielskiem, nie powinny też należeć do wszystkich, lecz do nikogo, a zażywanie ich powinno być pozostawionem tym, którzy najzręczniej i najlepiej potrafią z nich wytwarzać towary użytkowe. Ta sama wypróbowana zasada, pozwalająca leczyć tylko tym, którzy się na tem znają, winna i tu znaleźć zastosowanie. Wtedy znikną takie dziwolągi dzisiejsze, jak ten, że baletnica staje się właścicielką fabryki kwasu siarczanego, a magik i prestidigitator—obszarów ziemskich. Powinno być dozwolonem ziemię i lasy eksploatować tym tylko, którzy najlepiej to potrafią, również fabryki eksploatować tym tylko, którzy najlepiej się na tem znają, i to nie na prywatny, lecz publiczny użytek. A od tej zmiany bogactwo narodowe tylko się powiększy; od warsztatów pracy rolnej i fabrycznej zostaną odpędzeni nieudolni wałkonie i fantaści, którzy marnotrawią, paraliżują lub wypaczają środki wytwarzania przez ślepy los im powierzone, a które wolne współzawodnictwo po niewczasie z rąk wytrąca, o ile kartele, ringi i trusty tego „wolnego współzawodnictwa“ nie zredukowały do rzędu fikcyj. Nie tu miejsce rozwijać wszystkie dobre skutki powyższej zmiany, które dla umiejącego obliczać i myśleć są same przez się zrozumiałe. Od tej zmiany oczywiście świat nie zapadnie się w gruzy, jak w złej wierze utrzymują filuci, a głupcy wierzą, natomiast nie ulega wątpliwości, że obecny cały ustrój społeczny doszczętnie zginie, gdyż jest on cały od *a* do *z* oparty na prywatnej własności z jej łupiestwem bliźniego, militaryzmem i tem wszystkiem, co do tego garnituru należy. Współczesnego, kanibalskiego ustroju społecznego wolno nie żałować ze stanowiska etyki społecznej, łzy za nim mogą ronić ci tylko, którzy nie potrafili egzystencyi swej oprzeć na niczem innem, prócz zbrodniczości tego systemu. Do każdej formy własności i żywienia się może przystosować się ustrój społeczny we wszystkich swych przejawach, a do każdego ustroju społecznego może być przez wychowanie i tresurę przystosowaną fizyczna i psychiczna strona człowieka, której rozciągliwość, elastyczność i plastyczność jest prawie bezgraniczna tak, że z tego materyału dają się urobić najwięcej awanturnicze i fantastyczne dziwolągi. Dowodem—choćby przystosowanie się człowieka do obecnego ustroju, zwiędłego i przeżytego, rojącego się od absurdów i udręczeń wszelkiego rodzaju. Dla ilustracyi weźmiemy pierwszy z brzegu przykład, np. „handel“. Jest to zasługą Proudhona, że wyświetlił ten absurd życia gospodarczego, zwany handlem. Trudno wymyśleć coś bardziej niepraktycznego, nieprodukcyjnego i niedorzecznego nad „handel prywatny“. Dzięki tej nadobnej instytucyi za guzik, którego wyrób, licząc już w to dywidendę fabrykanta, kosztuje grosz, konsument płaci trzy grosze dlatego tylko, że kupcowi podobało się odgrodzić konsumenta od wytwórcy, ażeby pod pretekstem t. z. „ryzyka handlowego“, nieproszonego i niedziękowanego, pod pretekstem zmarnotrawionych kosztów na kłamliwe reklamy, na wystawy i inne przynęty, nieprzysparzające wartości towarom, wypróżniać kieszenie osowiałym konsumentom..

Na tą kosztowną zabawkę „handlem prywatnym“ dzisiejsze społeczeństwa niby cywilizowane marnotrawią 50% spożycia, co, lekko szacując, wynosi koło 10 miljardów. Jest to też pewien gatunek militaryzmu, wymyślonego przez „homo sapiens“, który wszystkie rozumy pozjadał. Uprzytomniwszy sobie, że od stuleci ludzkość to głupstwo uprawia z żarliwością godną lepszej sprawy, dostaje się istotnie zawrotu głowy, jak na widok czegoś niepomiernie olbrzymiego, niedającego się ogarnąć umysłem i zmysłami. Wobec dwóch choćby tylko takich faktów jak: nieprodukcyjne marnotrawstwo w postaci militaryzmu i w postaci handlu prywatnego, czyż można się dziwić, że niema za co zabezpieczyć starców, sierot, kalek, że szpitale, szkoły i instytucye kulturalne oraz użyteczności publicznej dostają ochłapy jałmużny, że rzesze obłachmanione wzrastają, że nie można na-

---

da. W niedzielę przed południem szły obie opiekunki do kościoła lub do lasu na muzykę. Estera zaś zostawała sama w domu i żyła jak w bajce własnego pomysłu, co jej dodawało sił do zniesienia więziennego życia całego tygodnia.

Przez okno na górze wychodziła na dach oficyn, a stamtąd obchodziła wszystkie dachy okoliczne, zaglądała do gniazd ptasich, ćwierkała i gwizdała na ptaszki, zbierała mech z pomiędzy kamieni i wtykała ręce w poczerniałe sadzą kominy. Jeżeli się znajdowała w nastroju marzycielskim, siadała okrakiem na grzbiecie dachu i wpatrywała się w wieżę kościelną i gołębie, hodowane przy kościele. Tak siedząc oddawała się skromnym marzeniom dziecięcym o pięknym panu, który będzie klęczał przed ołtarzem i nazwie ją swoją żoną. Kiedy na wieży kościelnej wybiła druga, właziła z powrotem przez okno i siadała do roboty.

Pokoik na górce z wspólnem łożem, komodą, stoczonemi przez robaki meblami i mdłym zapachem był jej wstrętny. Tu doznawała zawsze uczucia, jak gdyby ściany, sufit i podłoga ścisnęły między siebie czas i nie chciały go wypuścić. Dech jej zapierała obawa, by tu nie straciła przytomności.

Pewnego wieczoru, na krótko przed jej bierzmowaniem wezwała ją Alvilda z sobą na górkę. Niezwykłemu temu wezwaniu towarzyszył ton uroczysty.

Joanna przystroiła dziewiczą klatkę zielenią i równiankami, a na serwecie ustawiła dwa wyblakłe portrety męskie.

Estera domyśliła się od razu, że jeden przedstawiał ukochanego Joanny, a drugi jej własnego ojca. Wszystkie omawiania i piękne wstępy były zbyteczne, Estera wiedziała o tem sama z siebie.

Potem Alvilda położyła dłoń na ramieniu dziewczęcia i wśród łez i reminiscencyi z kazań opowiadała jej, jakie zmartwienie i ból złamały jej życie. Dziecko słuchało z roztargnieniem, napół senne.

Ją obchodziło jedynie, kto był jej ojcem, a na to nie dawała odpowiedzi Alvilda.

Później w każdym spotkanym mężczyźnie szukała podobieństwa do zblakłego portretu otoczonego równianką. Gdy pleban, błogosławiąc ją, złożył dłoń na jej głowie, płonęła z radości, przypuszczając, że to jej ojciec.

W kilka tygodni później wzięła ją Alvilda z sobą na cmentarz i zatrzymała się nad jednym z grobów.

— Tu leży!

— Kto?

— Twój ojciec, naturalnie!

Estera zauważyła, że grób był całkiem zaniedbany. Dziki bluszcz okrywał mogiłę oraz ścieżkę do niej wiodącą, kamień był popękany i tak brudny, że nie można było prawie przeczytać nazwiska. Nagle poczęła kochać tego opuszczonego, zapomnianego, spoczywającego tu ojca. Obok znajdował się grób pięknie utrzymany. Machinalnie wyciągnęła rękę, zerwała cesarską koronę i spuściła kwiat na mogiłę ojca.

To drobne wydarzenie pogłębiło jeszcze bardziej nienaturalną przepaść między matką a córką i wróciły do domu pełne nieprzyjaznych o sobie myśli.

Następne lata były coraz przykrzejsze.

Opiekunki szeptały z sobą półgłosem o niewdzięczności i dziedziczeniu złej żyłki ojca. Estera i teraz przesiadywała w przedziale za sklepem, jak dawniej, lecz już nie zwijała, ale sama haftowała jedwabiem, włóczką i naszywała paciorkami. Bez wybijania i rysowania wzorów potrafiła naśladować kwiaty polne i roboty jej dobrze płacono.

Ciągłe milczenie było przykre, zwłaszcza że spostrzegła, jak dalece obecność jej krępuje tamte. Zaproponowała im, aby ona ze swoją robotą przeniosła się na górę, lecz nie miały środków na opalenie dwóch izb, tak więc przez pół roku siadywały obok siebie we trzy, nie znajdując słów na uprzyjemnienie sobie wzajem chwil spędzonych przy pracy.

(C. d. n.)

Przekład z duńskiego

Józefy Klemensiewiczowej.

dążyć i nastarczyć z budową karczem, więzień, kościołów, koszar i domów dla obłąkanych? Jak zauważył „La Rochefoucauld: „dziwić się można tylko temu, że jeszcze się można dziwić“, więc nic dziwnego pod słońcem, nawet to, że społeczeństwa współczesne ze zbawczemi receptami w ręku pogrążają się w coraz większy upadek, stworzony przez chorą cywilizacyę nowoczesną. „Nie wiadomo, co położy kres temu światu, który jest tylko wielkiem zbiorowiskiem boleści!“ woła Buddha. I rzeczywiście, nie wiadomo co położy kres, natura bowiem ludzka posiada trzy wyróżniające ją rysy: niema tak wielkiego udręczenia, do którego człowiek nie potrafiłby się na tyle przystosować, żeby obok niego nie zdobyć się jeszcze na sclavus saltans, następnie—„homo — bestia insatiabilis“, wreszcie—olbrzymi konserwatyzm pod względem duchowo-cielesnym. W ustroju człowieka współczesnego zdarzają się jeszcze t. zw. „mięśnie piramidalne“ w okolicy kości łonowej, będące szczątkowem dziedzictwem już nie po małpach człekokształtnych, lecz po torbaczach; czyż można oczekiwać większej powolności rozwoju? Ten to wrodzony konserwatyzm stanowi sam trudność, o którą wszelkie zbawcze pomysły reformatorskie się rozbijają.

Już dawno dowiedzionem zostało, że uczciwość, sumienność, sprawiedliwość i wolność kosztują taniej, niż łupieskie złodziejstwo, szalbierstwo, wyzysk i przemoc. Dawno wykazano jak na dłoni, że braterstwo ludów taniej kosztuje, niż rasowe lub nacyonalistyczne pozeranie się wzajemne, niż wszelkie dżingoizmy, Chamberlain'izmy, hakatyzmy i tym podobne cudactwa nieprzytomne. Dziecko zrozumie, że lepiej wziąć we wspólne władanie i zarząd glob ziemski, jako wspólny folwark, niż międzynarodowo wydzierać go sobie na swój wyłączny użytek narodowy i międzynarodowe kosztowne przeszkadzanie sobie w korzystaniu z jego darów. Wiadomo, że taniej jest i pożyteczniej dla pokrzepienia i spojenia rozkładających się społeczeństw dzisiejszych zamienić się w jedną wielką kooperatywę spożywczo-wytwórczą,niż wytwarzać chaotycznie i bezładnie, marnotrawnie zaś spożywać i szerzyć pauperyzacyę, nienawiść klasową, rozprzęgając tem solidarność społeczną. Wiadomo, że oświata taniej kosztuje, niż ciemnota, wolność tańszą jest od ciemięstwa i t. d. i t. d. Lecz cała ta świadomość ani na jotę nie zmniejsza liczby amatorów kwaśnych jabłek. Pochodzi to stąd, że wrodzony ludziom konserwatyzm do życia współczesnego i jego organizacyi unosi barbaryzmy odległych epok wszelkich odcieni w przeważającej ilości, obok której modernizm jest zaledwie nikłą domieszką, ten ostatni bowiem, wygnany z życia bieżącego, spoczywa niemal w całości w literaturze, sztuce niecenzuralnej, które są jego kołyską i schronieniem. Przy tym stanie rzeczy wszelkie leki na choroby społeczne są odrzucone.

Na tysiąc współczesnych ludzi pseudocywilizowanych 999 dba o dobro publiczne, jak pies o piątą nogę, której nigdy nie miał. Społeczeństwa ludzkie, raz wciągnięte w tryby jednego typu kultury, niezdolne są zasmakować w innej ryczałtem i dopiero wtedy zaczynają odżegnywać się od tej kultury, w której były tresowane, gdy jej niebezpieczeństwo i absurdność stanie się oczywistą każdemu.

Społeczeństwa, odurzone chloroformem religii, pijane mistycyzmem filozoficznym zatracają świadomość tego, czem są, gdzie się znajdują, dokąd idą i w tym stanie transu pozwalają dokonywać nad sobą najboleśniejszych wiwisekcyi uzurpatorom władzy i tyranom. Ibsen sformułował przykazanie: „nauczaj naród twój wielkie myśli przemyśliwać“; może to, co tu odręcznie rzuciłem, pobudzi kogo do głębszego rozpamiętywania zagadnień życia.

Szpon

X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich.

Zjazd lekarzy i przyrodników polskich, zwołany po 38-letniej przerwie da możność zsumowania i ocenienia nietylko wyników najnowszych badań naukowych, lecz i siły rozwojowej na polu nauki narodu polskiego. Uczeni polscy, rozproszeni po obcych ogniskach w braku olbrzymich środków pomocniczych, wymaganych przez współczesną naukę doświadczalną, potrafili jednak dorzucić niemało do dorobku wszechświatowego i dorobek ten oddać narodowi w jego własnej mowie. W ostatnich czasach powstała bogata i oryginalna terminologia polska i otrząsnęła się zupełnie z naleciałości i zapożyczań, które do niej przylgnęły na obcych wszechnicach. Widzimy też, że społeczeństwo, pochłonięte dotąd przez studya literacko-historyczne, w których zawarło kwintesencyę narodowego ducha, zwraca się powoli ku przyrodoznawstwu.Ten zwrot znalazł wyraz w zwiększonej ilości wydawnictw przyrodniczo — naukowych. Już wiele z tych dzieł, które musiały wychodzić zagranicą w cudzoziemskiej szacie z braku nakładcy i czytelników u swoich, może obecnie rodzinną mową szerzyć wiedzę.

Wobec tych ze wszech miar pocieszających objawów, ogromne znaczenie będzie miał Zjazd lekarzy i przyrodników. Zwracając uwagę całego społeczeństwa na zagadnienia naukowe, rozbudzi może w niejednym pociąg do studyów przyrodniczych, a te niewątpliwie zmniejszą konserwatyzm i klerykalizm naszego społeczeństwa, który przybrał tak zastraszające rozmiary. Wszak znane są u nas fakty agitacyi przez „czarne żywioły“ przeciw postępowym instytucyom oświatowym na tej zasadzie,iż tam uczą,że człowiek pochodzi od małpy“. Okazuje się,że u nas jeszcze teorya descendencyi niema prawa obywatelstwa, które uzyskała już zagranicą! A i u galicyjskiej ciemni mamy nietylko przeciętnych obywateli, lecz nawet doktorów medycyny, godzących z naukami ścisłemi—prawie że odmawianie różańca!

Odczyty, które już zostały wygłoszone (dr. Biegański: „O współczesnej filozofii przyrody“; dr. Wład. Natanson: „Świat widziany od strony elektrycznej“; prof. Rydygier: „Zagajenie w sprawie akcyi przeciwrakowej“) przedstawiają się ze wszech miar interesująco, a gdy wspomnimy, że w zakres prac sekcyjnych wchodzą kwestye alkoholizmu, walki z gruźlicą i t. d., że już uchwalono założenie polskiego stowarzyszenia celem zwalczania raka, zabierającego w Królestwie rocznie 7,000 osób, wówczas dopiero ocenimy całą doniosłość zjazdu.

Niezmiernie sympatyczne wrażenie sprawia mowa prezesa komitetu gospodarczego, prof. Bylickiego. Zawiera ona żądanie, aby nauka zaspakajała dwa najznaczniejsze wymagania ludzkości: pragnienie warunków bytu, najodpowiedniejszych celom życiowym i zupełne poznanie świata i życia, zbadanie przyczyn zjawisk otaczających. Jest więc nadzieja, że Zjazd rozbudzi w uczestnikach szerokie dążności społeczne, uznając, iż owo stworzenie najodpowiedniejszych celom życiowym warunków bytu wymaga gruntownego przekształcenia istniejącego ustroju, któremu współdziałać może lekarz na wielu stanowiskach, niemal w każdej chwili życia, występując jako śmiały rzecznik ewolucyi i postępu. Może to rozbudzone uczucie społeczne rzuci w zapadłe kąty, gdzie mrze bez pomocy tyle chorych, wielu lekarzy, kupiących się teraz po wielkich miastach, wydzierających sobie praktykę, konkurujących ze sobą, jak dwa kramiki, imponujących pacyentowi wystawnością mieszkania i t. d., wypaczających duszę wśród niezdrowej zawiści zawodowej. Czyż to raz się zdarzało, iż gwałtownie potrzebna operacya lub konsylium nie dochodziło do skutku z powodu podrażnionej ambicyi lub niezachowania konwenansów wobec jakiejś wielkości lekarskiej?

Serdecznem echem odbrzmi w nas hasło, rzucone przez prof. Bylickiego: „Nauka powinna służyć życiu! Niech służy, niech przekształca zapleśniałe wyobrażenia, niech ewolucya myśli poprzedzi wielką ewolucyę form społecznych. Bo, jak powiedział prof. Kostanecki w swej mowie: „w walce o byt ten tylko naród może się ostać, który potrafi nowe zjawiska przyrody ujawnić i wykorzystać je dla dobra ludzkości.

Bardzo dobrym pomysłem było połączenie ze wspomnianym wyżej zjazdem wystawy przyrodniczo lekarskiej. Szeroko uwzględniony na niej dział hygieniczny musiał skierować uwagę lekarzy na zadanie nauki, dotąd bardzo mało uwzględniane w praktyce, a mianowicie, na działalność zapobiegawczą. Obecnie medycynie pozostawiono tylko akcyę ratunkową. Wskutek tego, w sposób całkiem normalny, rodzi się u fachowców—lekarzy prawie odruchowe życzenie, aby chorych było jak najwięcej—wszak to ich chleb. Lecz gdyby ich praca została uspołeczniona, gdyby stosunek lekarza do społeczeństwa nie ograniczał się do przypadkowych zetknięć się z pojedyńczymi jednostkami w chwilach niebezpieczeństwa, wówczas siły, używane na usuwanie choroby, mogłyby pójść na zapobieganie chorobie. Ale zorganizowanie instytucyi mających cel powyższy, propagowanie zasad hygieny i wcielanie ich w życie rozbija się znowu o—kwestyę społeczną. I znowu nauka czuje się bezsilną, jak myśl bezcielesna — i znowu musi się zwrócić do budowniczych przyszłości, by jej pomogli stworzyć „ludzi, prostokątnie zbudowanych na ciele i duszy“.

Na Wystawie przyrodniczo - lekarskiej, możemy oglądać modele mieszkań, łaźni ludowych i t. d. najnowszej konstrukcyi, preparaty pokarmów, okazy ogrodnictwa, tablice, fotografie, ilustrujące hygienę szkół, środki pomocnicze w medycynie i t. d. i t. d.

Najmniej ściągają na siebie uwagę publiczności tablice statystyczne, zawierające jednak bardzo cenne dane i wskazujące, gdzie możnaby skierować wysiłki lekarzy, nieraz tak niepotrzebnie trwonione przy kapryśnym bogaczu, szukającym pretekstu, by wyjechać do badu. Tak np. w statystyce wystawionej przez Radę Szkolną okręgową we Lwowie znajdujemy p. t. „Hygiena domowa młodzieży szkolnej“ dziewięć obrazów ilustrujących sprzeczny z wszelką kulturą sposób życia dzieci uczęszczających do szkół ludowych. Dowiadujemy się, że 45 dzieci na sto śpią same, znaczy to, że 55 na sto śpią wspólnie z innemi dziećmi lub z dorosłymi, co jest rzeczą dla zdrowia dziecka najszkodliwszą i przyczyną najgroźniejszych chorób. Dalej dowiadujemy się, że 73% chłopców i 51% dziewcząt nie myje się wcale, 15% nie ma

płaszcza zimowego, a 13% — obuwia, 19% nie ma stołu do pisania, piszą więc zadania na kuchni, na ławce, na podłodze, w pozycyi najniezdrowszej; 5% dzieci trudni się po za szkołą zarobkowaniem. Ogólna suma badanych dzieci wynosi 14.502. A ile jest po za szkołą takich, których warunki życiowe nie wydźwignęły nawet na ten poziom, na którym się odczuwa potrzebę szkoły!

Uczeni, ożywieni szlachetnym zapałem, chcący wyratować ludzkość od tylu bólów i chorób, powinni pamiętać, że wszystkie ich usiłowania pójdą na marne, dopóki się nie uleczy głównej choroby ludzkości: Nędzy.

Kwestya religijna w Japonii.

Od czasu wojny rosyjsko-japońskiej, która zwróciła uwagę cywilizowanego Zachodu na kraj Wschodzącego Słońca, naród małych wyspiarzy przeżywa głębokie i ostre przesilenie.

Jakkolwiek zwycięzka wojna była ogniwem, które połączyło odgłosy politycznego życia Wschodu z koncertem mocarstwowym Europy, lubo zawiązane „entente cordiale" franco-i anglo-japońskie wpływają nader pomyślnie na gorączkowy rozwój kapitalizmu w Japonii, jakkolwiek proces zewnętrznej europeizacyi odbywa się nieustannie—niemniej pod błyszczącym puklerzem pomyślności i postępu, potęgi materyalnej i moralnej narodu, kryje się ciężki kryzys wewnętrzny.

Zapasy kurczowe z kolosem północy zasiały bujne żniwo śmierci na brzegach Jalu i w fosach portu Arthura.

Nakład wydatków na kosztowną wojnę odbił się na podwyższonej taryfie podatku dochodowego, którą musiał opłacić ze swych skromnych środków włościanin japoński. Nienormalnie rozwijający się przemysł fabryczny położył ciężką łapę na proletaryacie robotniczym. Nędza się szerzy.

Emigracya do Korei i Stanów Zjednoczonych wzmaga się na skutek przeludnienia.

Łącznie z kryzysem ekonomicznym idzie ślad w ślad przesilenie moralne. Stare wierzenia, kulty, zwyczaje, dogmaty w zetknięciu z nową, nieznaną, a wyższą kulturą wytworzyły fermentacyę, która ogarnęła naród. Rozliczne szczeble, rozgałęzienia i prądy umysłowości europejskiej przyszły naraz do Japonii. Monizm i darwinizm, empiryokrytycyzm i kult nadczłowieka, Kant i Nietzsche jednocześnie zawitali na kwitnące wyspy Nipponu. Stąd gwałtowne i dziwaczne starcia się poglądów, charakterystyczne dla epoki przełomowej, w ciągu ciężkich porodów kultury zupełnie naturalny zamęt i depresya moralna. Jakiś nieusprawiedliwiony fatalny, żywiołowy pesymizm opanował młodzież. Samobójstwa przybierają charakter masowy. Zjawiają się peryodycznie mistyczni rzecznicy nowych prawd objawionych.

Niewiara w stare bogi jest zjawiskiem powszednim. Rzekłbyś starożytna Hellada w epoce upadku. Nadeszła epoka krytyczna; przebudowa omszałego i pokrytego pleśnią gmachu dawnego życia stała się nieuniknioną.

Jedną z szeregu kwestyj, wysuniętych na porządek dzienny, jest w Japonii kwestya religijna. Może to być nieco dziwne, że w tym samym czasie, gdy Europa zaczyna rozluźniać pętające ją sieci przesądów i wyzwalać się z pod panowania Rzymu papieskiego, w Japonii warstwy panujące, mając swój interes w ogłupianiu ludu, domagają się upaństwowienia religii. W języku mniej szczerym brzmi to: „idealizm ducha i potrzeba karmi religijnej obudziły się wśród ludu".

W istocie rzeczy walka o istnienie właściwej religii sankcyonowanej przez państwo, stanowi rdzeń i jądro kwestyi.

Prawdziwe jej komplikacye i zawiłości leżą w charakterze chwili i w psychologii ludu japońskiego. Głęboki jego sceptycyzm w sprawach religijnych, graniczący z indyferentyzmem, połączony z dziwną zabobonnością i naiwnym panteistycznym mistycyzmem umożliwiają egzystencyę na japońskim gruncie niezliczonych odcieni trzech głównych gałęzi religijnych.

Oto, co pisze w danej sprawie wielki znawca Japonii, André Bellesort: „Nie pytajcie nigdy Japończyka o jego przekonania religijne, bo poruszycie kwestye, których on sam nigdy nie poruszał. Uczęszczałem do wielu świątyń w Tokio. Niktby nie myślał, że ma do czynienia ze zgromadzeniem ludzi, zebranych dla jednej i tejże modlitwy do tego samego Boga. Każdy przychodzi, wchodzi, odkrywa głowę, lub też ją pokrywa, pochyla się lub pada na twarz, zdradza ufność do Bóstwa całkowitą, albo niezupełną, lub też nieufność...

Jako religie właściwe, wzajemnie uzupełniające się i odzwierciadlające rozmaite płaszczyzny ducha japońskiego mogą być uważane shintoizm i buddyzm. Najstarszą religią Nipponu był shintoizm, religia narodowa, religia uwielbienia ojczyzny, jasny kult hołdu naturze. W upiększonych zielonością świątyniach czci Japończyk Amurasubu, boginię światła i słońca, czci muzyką, pieśnią, zabawą i pląsami. Religia shinto nie posiada żadnych dogmatów moralnych, sięgających aż do życia zagrobowego. Wiązanka naiwnych mytów kosmogonicznych, nieco przypominających mytologię grecką, wyczerpuje jej treść. Krańcowo różni się od niej buddyzm, religia popiołów i abstrakcyi, przeniesiona do Japonii z Korei.

Historya Japonii jest areną pasowania się pomiędzy sobą tych dwu religii; każda z rywalek czasowo brała przewagę nad inną.

W przeciągu pierwszych dwunastu stuleci dziejów Japonii niepodzielnie panował shintoizm, który o tyle zakorzenił się w ludzie, że bonzowie buddyjscy, widząc niepłodność otwartej walki z shintoizmem musieli uciec się do podstępu, który polegał na budowaniu „miya" (świątyń shinto) wewnątrz „tera", chramów buddyjskich.

„Kami (bogowie shinto) i Buddha to jedno! Bogini dnia jest Buddhą, który przyszedł zbawić Japonię" [1]) — mieli twierdzić naiwnym owieczkom sprytni dusz pasterze.

Gdy większość świątyń była przebudowana i bogowie otrzymali inne nazwy, buddyzm zaczął się powoli zaszczepiać na gruncie japońskim. Dopiero po restauracyi 1868 roku shintoizm staje się znowu religią urzędową i częściowo odzyskuje dawne wpływy.

Byłoby zbytecznem odtwarzać całą epopeję walk pomiędzy religiami i ich poszczególnemi sektami.

Zatrzymamy się tylko nad chrystyanizmem, który około r. 1600 propagowany przez misyonarzy znowuż jako sekta natury doczesnej, zdołał pozyskać znaczną ilość neofitów, szerząc swe credo dzięki gościnności rządu japońskiego. Lecz gościnność ta miała swe granice.

Zniecierpliwiony nadużyciem misyonarzy, ich nietolerancyą względem cudzych świętości, korupcją i demoralizacyą, które szerzyli wśród ludności, mikado Hideoshi Toyotomii w r. 1587 wydał edykt zabraniający misyonarzom propagandy katolicyzmu!

Wspomniany przezemnie autor (Hitomi) podaje fakt następujący, który przepełnił miarę cierpliwości mikada:

„Samuraï imieniem Nakaï był faworytem „Toyotemi Hideyoshi. Matka owego Samuraïa wyznawała buddyzm. Pewien kaplan chrześciański chcąc ją nawrócić probował wszystkich środków. Z początku poprosił ją o spędzenie nocy w jej domu, podając się za bonzę. Po kilku dniach posłał jej funt drzewa aloesowego i dziesięć sztuk jedwabiu, probując ją nakłonić w ten sposób—bez powodzenia. Nareszcie podczas dyskusyi z byłym bonzą w jej obecności rozdarł kilka zeszytów świętych ksiąg buddyjskich i rzuciwszy je pod nogi, twierdził, że Budda nie jest w stanie go ukarać. Były bonza odrzekł mu: „Czemuż wszechmogący Bóg Chrześciański nie jest w stanie przeszkodzić ludziom „źle się sprawować".

„Ksiądz poszedł, nie odrzekłszy ani słowa. Nakaï opowiedział swemu władcy o wszystkiem, co miało miejsce u jego matki. Toyotomi rozmyślając o tem, zadecydował, że sekta, która bierze lud na lep interesu nie może być sprawiedliwą. Posłał więc trzy tysiące żołnierzy, aby wypędzili księży chrześciańskich".

Około r. 1609 współzawodnictwo Holendrów z Portugalczykami dostarczyło powodów do prześladowania misyonarzy. Zaborcze zamiary Portugalczyków, którzy na modłę innych mocarstw Europejskich, torując sobie drogę krzyżem propagandy chrześciańskiej szerzyli następnie orężnie gwałt i zniszczenie, zostały przewidziane przez rząd japoński. W r. 1612 Szogun Tokugawa ostatecznie postanawia wyplenić chwast chrystyanizmu. Kara śmierci oczekiwała zaślepionych zwolenników dobrej nowiny. Na dalekim Wschodzie powtórzyły się czasy Nerona. Rozpoczęły się masowe rzezie zrewoltowanych włościan, wiernych swej religii — śpiew chrystyanizmu wydał bujny plon krwi i mordów bratobójczych. Po leciech propagandy potajemnej dopiero w r. 1890 konstytucya japońska daje gwarancyę rzeczywistą wolności sumienia. Odtąd wszystkie sekty mają równe prawo do życia. Lecz po krwawych widziadłach przeszłości sprawa religii coraz bardziej traci swą żywotność. Zobojętnienie szerzy się wraz z wzmożeniem się kultury i wzrostem oświaty. Wojna i kryzys ekonomiczny wywołały ją na porządek dzienny.

Żadna z wymienionych powyżej religii nie kwalifikuje się w Japonii do odegrania roli dominującej.

Jeżeli młot poglądu naukowo-przyrodniczego rozbija w gruzy fundowane w zamierzchłej przeszłości podwaliny shintoizmu, nie zadawalniającego potrzeb natury w imię miłości ojczyzny, Mikada, wszystkiego co ma cechy swoiste japońskie, to z drugiej strony chrystyanizm we wszelkich jego postaciach nie potrafił przystosować się do warunków japońskiej psychyki, przybrać form odpowiednich, zaaklimatyzować się. Jeżeli przyjmiemy pod uwagę, iż wychowanie japońskie ściśle izolowane od wszelkich pierwiastków dogmatycznych, poprzestaje li tylko na wykładaniu moralności świeckiej, zrozumiemy łatwo przyczyny bezreligijności Japończyka. Bezreligijność ta jest wytworem stosunków specyficznych, wytworem naturalnym i koniecznym.

[1]) „Daï Nippon" przez I. Hitomi.

Wobec tego bardzo wątpliwe, czy wysiłki twórców nowej, syntetycznej, zreformowanej religii, która jednocząc pierwiastki buddyzmu z zasadami chrześciańskiemi miałaby wytworzyć protestantyzm japoński, zdołają narzucić jarzmo dogmatyzmu społeczeństwu, przyzwyczajonemu do niepodległości myśli i powszechnej tolerancyi. Religia ta, jako religia przyszłości w bujnej wyobraźni jej zwiastunów ma iść ręka w rękę z postępem w nauce doświadczalnej, być poniekąd opoetyzowaną jego metafizyką.

Otóż nasuwa się pytanie, w jaki sposób dałoby się pogodzić niewzruszalność praw objawionych z wiecznie zmiennym rozwojem myśli naukowej.

Kapłani religii owej byliby zmuszeni dziś palić na stosie to, co wczoraj ubóstwiali, a czy przy takich warunkach istnienie religii jest możliwe, a jeśli jest możliwe, czy jest potrzebne?

Mojem zdaniem—nie.

Jerzy Szum Jankowski.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Chleb endecki z karaluchami.

Niejaki p. Marylski - Łuszczewski, mąż, którego nazwisko ukazywało się dotychczas śród handlujących mlekiem, postanowił nakarmić dusze nasze razowcem narodowo-demokratycznym z mąki grubo mielonej.

Puścił tedy w świat broszurę p. t. „Próżno zastawiają sieci przed oczyma wszelkiego ptaka skrzydlatego". Jest to oczywiście znany w Warszawie „chleb z karaluchami". Wydobądźmy kilka: „Tatulowi socyaliście było smutno samemu i wstąpił w związki małżeńskie z przekupką z za Żelaznej bramy, czyli Postępową Demokracyą".

„Oprócz wyrzutków i szumowin, opłacanych w gazetach lub zależnych pieniężnie od Żydów, „należą do niej: „pogrobowcy, którzy umieją przeczyć i burzyć", „zwracają się oni do śmietnisk, które po innych ludach pozostają, grzebiąc się jak galganiarze w stosach odpadków i strojąc się w porzucone, brudne szmaty". Szczególnie szanowny Terzytes szkaluje rzeczpików wywłaszczenia: „Gdyby nasz lud — powiada—miał wejść na drogę bandyckiej polityki burzenia własności, sądzimy, że niewypróbowanego środka wywłaszczenia użyłby—jak na rozważnych ludzi przystało — naprzód drogą próby na majętnościach żydowskich. Gdyby to poszło dobrze, dopiero wtedy wziąłby się do ziemi. Żydom-gościom przedewszystkiem należy się pierwszeństwo. Odebrałby żydom domy, fabryki, banki, sklepy, kapitały i kosztowności. Sądzimy, że tą drogą uzyskalibyśmy więcej niż pół miliarda rubli, co odpowiada mniej więcej wartości pięciu milionów morgów gruntu folwarcznego. *Wielebyśmy otrzymali za same peruki żydowskie.* Ale słyszycie, jaki gwałt się podnosi, że my chcemy rabować żydowskie mienie. To pogrom — wołają żydzi. Nie, to taki żarcik w odpowiedzi na figle żydowskie".

Panowie piekarze „narodowego" chleba, prosimy o więcej takich bochenków, wysadzanych na wierzchu karaluchami. Uwolni to nas od trudu wydobywania z niego tych waszych smacznych rodzenków.

W prochu.

Nasi twórcy „zwycięztw" proletaryatu powinnniby sami postarać się o to, ażeby ich drukowane bufonady z ostatnich trzech lat zginęły bez śladu, ażeby do potomności nie przeszedł najmniejszy ich skrawek. Bo czego oni nie zapowiadali, a co się z tych marcholtowych przechwałek stało! Przypomnijmy sobie, jakie to rzucano zapewnienia podczas lokautu łódzkiego, że robotnicy niewątpliwie pokonają fabrykantów i nie ustąpią ani na włos od swych żądań, jak wydrwiwano szlachetne zabiegi Towarzystwa Kultury polskiej, usiłującego przerwać tę nieszczęsną i nierówną walkę. Zawstydzona fanfaronada umilkła, gdy związek fabrykantów złamał opór i z bezwzględną surowością przeprowadził usunięcie 98 robotników dla okazania przykładowo swej nieograniczonej władzy. Zdawało się, że tu był kres upokorzenia. Tymczasem poszło ono znacznie dalej. Ci niemiłosiernie wyrzuceni i—jak mniemano—nieprzejednani i najniebezpieczniejsi, podali obecnie do swych pogromców taką prośbę, jakiej dotychczas nie znały dzieje lokautów i buntów robotniczych. Uznają się oni sami za potępieńców, którzy muszą „uciekać z rodzinnego miasta a może i z ojczystego kraju, aby się uchronić, ukryć i zasłonić przed *hańbą*", stwierdzają, że „przypadkowo czy *opatrznościowo* stali się bądź powodem, bądź środkiem, bądź wreszcie skutkiem wielkiej, rujnującej *ogół* katastrofy". Odzywając się do „wielce szanownych i łaskawych panów", którzy „wydalili ich na mocy *słusznie* służącego im prawa", nie marzą nawet o powrocie do „warsztatów pracy, przy których spędzili wiele, wiele lat", tę myśl „pożegnali nazawsze". Oni pragną tylko swem pismem „uderzyć w czulszą i wrażliwszą strunę ich serc, aby w nich wzbudzić *najelementarniejsze uczucia litości* dla byłych robociarzy, byłych członków klasy robotniczej, dziś zdeklasowanych, *przez ogół odtrąconych, napiętnowanych* i za burty społeczne wyrzuconych nędzarzy"! Oni tylko „ośmielają się zwrócić z baguteluą prośbą o jednorazową pomoc, okazaną hojną i wspaniałomyślną dłonią pańską".

Poprostu pióro się wzdryga przy przepisywaniu tych psich skomleń, których autor—wnosząc ze stylu, nienależący do robotników, niemiłosiernie spastwił się nad ich godnością. Do takiego to „zwycięztwa" doprowadzili lud roboczy jego hetmani, jego „jedyni przyjaciele i obrońcy". Straszna lekcya, która nie powinna być zapomniana.

Poprawka do etyki.

Demokracya Narodowa, jako *allein selig machende Kirche*, nie mogła pobłogosławić „stronnictwa krajowego Litwy i Białej Rusi" z dwóch bardzo ważnych względów: 1) nie chce ono poddać się jej komendzie i 2) nie zamierza „zabranego" kraju rosyjskiego zamienić na zabrany kraj polski, lecz równouprawnić w nim wszystkie narodowości. Za najmocniejszy zaś przeciw niemu argument uważa to, że, uznając prawa Litwinów i Białorusinów, „w zamian niczego nie żąda". To „w zamian" jest klasyczne i doskonale charakteryzuje etykę bandy. Według niej należy nie okradać bliźniego, jeżeli on w zamian nas nie okrada; inaczej wolno z nim zrobić wszystko, co dogadza naszemu interesowi. Jak widzimy, często w polityce stosowana reguła: „do ut des" została przez naszych nacyonalistów ślicznie poprawiona. Nie chodzi bowiem już o to, ażeby coś dać—Polacy na Litwie i Białorusi niczego dać nie mogą — ale o uznanie elementarnej zasady sprawiedliwości, pozwalającej każdemu żyć i używać swobody. I pomyśleć, że są jeszcze niegodziwcy, którzy ośmielają się głośno twierdzić, że uczciwość obowiązuje bez wzajemności i że nawet względem złodzieja nie należy być złodziejem.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA PRZYRODY WE WŁOSZECH

w epoce Odrodzenia.

(Dokończenie. Patrz Nr. 13 i 14.)

Bruno jest najszlachetniejszym przedstawicielem filozofii Odrodzenia włoskiego. Wprawdzie systemat jego filozoficzny posiada braki, które nas dziś rażą, podziwiać w nim jednak musimy zarówno wielkość pomysłu jak lotność i potęgę fantazyi. Dźwięczą w nim już tony, które później u Leibnitza rozbrzmiały szeroko i donośnie.

Decydujący wpływ na ukształtowanie się poglądów Bruna wywarła między innemi nauka Kopernika. Nauka ta, przeciw której kościół wystąpił odrazu do walki, bardziej może na razie przeczuwając, niż rozumiejąc ukryte w niej niebezpieczeństwo dla siebie, dostarczyła Brunowi potężnej broni do walki z kościołem. Z nauki Kopernika, mówi Bruno, wypływa bezpośrednio: 1) że wszechświat jest nieskończony i 2) że wszystkie części poszczególne tego wszechświata są jednorodne. Wszechświat jest nieskończony, w takim bowiem tylko wszechświecie przejawiać się może Bóg, który jest nieskończony i wieczny, każdy inny świat byłby niegodnym Boga.

I dlaczegóż zresztą świat miałby być skończonym? Wszędzie, gdzie zechcemy przestrzeni postawić jakieś granice, za granicami temi znajdujemy znów przestrzeń. O skończoności świata mówią nam jedynie zmysły nasze, które są niedoskonałe, wyćwiczone bowiem zostały jedynie na przedmiotach skończonych, lecz czyż mamy wierzyć, iż po za tem, co nam zmysły podają, nic już niema? Czem więc jest wszechświat? Wszechświat—to próżnia z zawieszoną w niej ilością światów, próżnia nie martwa, lecz będąca przybytkiem rozlanej w niej siły twórczej bożej. Wszechświat nie ma żadnego określonego centru ruchu. Za centr taki każde z ciał niebieskich dowolnie obranem być może.

Wszystkie poszczególne części wszechświata tworzą harmonijną całość, wszystkie części podlegają prawom ogólnym, żadna z nich nie jest ani lepszą, ani gorszą, ani wyższą lub niższą od innych. Pogląd taki zadaje arystotelizmowi kościoła cios stanowczy. Wszak podział świata, głoszony przez kościół, podział na niebo i ziemię opierał się na nauce Arystotelesa, podług której istnieć miały dwa światy: świat pod księżycem, niedoskonały, złożony z czterech pierwiastków, i świat nad

księżycem, świat eteru, przybytek doskonałości. Wobec nauki Kopernika pogląd taki utrzymać się już nie mógł. Ziemia z uprzywilejowanego swego stanowiska strąconą być musiała do rzędu innych ciał niebieskich, cały geocentryzm tracił racyę bytu zupełnie.

Nasuwa się tu pytanie: jaki istnieje związek pomiędzy wszechświatem, jako całością i jego częściami poszczególnemi?

W sposobie rozwiązania zagadnienia tego przez Bruna przebija się wyraźnie wpływ poprzednika jego — Mikołaja Kuzańczyka. Istotą — substancyą wszechświata jest Bóg i wszystko we wszechświecie jest przejawem tego Boga. Wszystko jest wcieleniem myśli boskiej; z chwilą, gdy coś w umyśle Boga zostało pomyślanem — stało się natychmiast rzeczywistością. Substancya nieskończona jest jednocześnie przyczyną i celem wszystkiego.

Stosunek części do całości opiera się na harmonii artystycznej i na tem pojęciu harmonii, Bruno, jako typowy przedstawiciel Odrodzenia, szczególny położył nacisk. Owa harmonia, panująca we wszechświecie, nie zostaje nigdy naruszoną, chociaż jego części poszczególne ciągłym podlegają zmianom — przeciwnie, opiera się ona właśnie na poszczególnych kontrastach, podobnie jak na harmonijną całość obrazu składa się cały szereg kontrastów odcieni, linij i barw. Bóg obejmuje wszystkie kontrasty, musi więc obejmować i kontrast pomiędzy *największem* i *najmniejszem*. Tu widzimy u Bruna próbę pogodzenia uniwersalizmu z indywidualizmem. Największe — to wszechświat jako całość, minimum — to monada, będąca nie częścią Boga lecz Bogiem całym, przejawiającym się jedynie pod różnorodnemi postaciami.

W tym wiecznym, bezgranicznym, niezmiennym jako całość wszechświecie części jego poszczególne wciąż tworzą się i zanikają. Zapalają się płomyki życia i gasną kolejno, poczyna się w niem wszystko, rozwija, dojrzewa i umiera, sam zaś wszechświat jest zawsze młody, zawsze kwitnący. Tu święci uniwersalizm Bruna tryumf prawdziwy. Śmierć, troski i nędza życia istnieją dla tych tylko, którzy od drobnych spraw ziemskich oderwać się nie są w stanie. Kto wzrok ducha swego utkwi w bezmierny majestatat wiecznej młodości i harmonii wszechświata, ten zapomni o wszystkiem, wszystkie bóle życia wydadzą mu się marnymi, nic nieznaczącymi. I zrozumiałym się nam staje przedziwny spokój, z którym Bruno przyjął wyrok,skazujący go na śmierć. Czyż biednego tułacza, którego życie było jednem pasmem cierpień i prześladowań, mogła śmierć zatraszyć? Czyż mógł dla uratowania swego życia wyrzec się wiary w to, co życia tego było jedynym celem i treścią? Panteizm Bruna nie był jedynie wytworem jego myśli — Bóg w przyrodzie był dlań przedmiotem gorącej również miłości. Śmierć Bruna—to śmierć pierwszych chrześcijan. Umierał on za swego Boga we wszechświecie, jak tamci za Chrystusa Boga—człowieka.

Przed siedmiu laty świat cywilizowany obchodził trzechsetletnią rocznicę śmierci Bruna. Czy oceniono go jednak, jako filozofa i człowieka tak, jak na to zasługiwał?Zarówno nauka Bruna jak i on sam byli przedmiotem zarazem entuzyastycznych uwielbień i bezlitośnych i stronnych krytyk. Zarówno pierwsze jak i drugie były przesadzone. Sprawiedliwość nakazuje jednak uznać w Brunie wielkiego myśliciela i wielkiego poetę. Co się zaś tyczy Bruna — człowieka, to pomimo wszystkich ciskanych nań zewsząd oszczerstw, podziwiać musimy w nim prawdziwie wielkie serce i niezłomny charakter. Ognista natura jego nie znała przeszkód i niebezpieczeństw, był to, jak mówi Windelband, „Phaeton Odrodzenia, porywający w ręce swe cugle rumaków słońca i przebiegający w szalonym pędzie niebo po to, aby następnie runąć w przepaść bezdenną". Tak, był to charakter wyjątkowo może niespokojny.Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę życie jego całe, najeżone zewsząd grożącemi mu niebezpieczeństwami, życie, będące ciągłem prawie tułactwem, to przyznać będziem musieli,iż warunków, składających się na zrównoważenie charakteru, miał Bruno istotnie niewiele. Bądź co bądź była to osobistość epokowa, która przez mroki wieków świecić będzie zawsze silnem i jasnem światłem. Lecz słówko jeszcze o Brunie—filozofie. Zapewne—systemat jego utrzymać się nie mógł, był bowiem „zamało naukowy", lecz z obecnego punktu widzenia zarzut ten odnosić się może i do wszystkich systematów Grecyi starożytnej, a jednak czyż możemy odmówić im wspaniałości i siły? Patrzmy na obraz makrokosmu Bruna nie jako na wynik badań rozumu, lecz jako na rezultat tej dążności ducha, którą Kant nazwał „potrzebą metafizyczną". Stojąc na tem stanowisku nie trzeba być entuzyastycznym zwolennikiem Bruna, aby przyznać, iż w filozofii jego raz jedyny w całej epoce Odrodzenia włoskiego zabłysnął w całej swej świetności odrodzony „Eros" Platona—bezmiar tęsknoty ducha za początkiem swym i celem, za Bogiem, za przyrodą.

Następcą Bruna był Tomasz Campanella, urodzony w roku 1568 w Stilo (Kalabrya). Podczas pobytu w klasztorze Dominikanów przejął się naukami Telezyusza, głoszenie zaś niebezpiecznych podówczas prawd zmusiło go do szukania ocalenia w ucieczce. Po kilku latach tułactwa pochwycono go, jako podejrzanego o różne knowania natury politycznej i skazano na dożywotnie więzienie. W więzieniu tem przebył Campanella dwadzieścia siedem lat i dopiero papież Urban VIII obdarzył go wolnością. Obawiając się ponownego uwięzienia, które groziło mu ze strony rządu hiszpańskiego, udaje się Campanella do Francyi i korzystając z poparcia kardynała Richelieu przystępuje do wydania dzieł swoich. Dokończyć już jednak pracy tej nie mógł; przerwała ją śmierć w roku 1639.

W historyi filozofii przyrody nie odegrał Campanella zbyt wielkiej roli; zasługują natomiast na uwagę poglądy jego, dotyczące teoryi poznania. Campanella jest większym sensualistą, niż Bruno. Poznanie opiera się podług niego jedynie na tem, co nam dają zmysły bez dodatkowej krytyki wrażeń zmysłowych za pomocą pojęć, a raczej pojęcia są również odmianą czucia jedynie bardziej skomplikowaną. Zaznaczyć przytem należy, iż nauka Campanelli uwzględnia już w zarysie różnicę pomiędzy percepcyą i apercepcyą, rozróżnia odbieranie wrażeń za pomocą zmysłów od zdawania sobie sprawy z tych wrażeń.

Jeżeli jednak poznajemy jedynie za pomocą zmysłów, to poznanie nasze wogóle z konieczności ograniczać się musi do poznania sposobu odbierania wrażeń zmysłowych, sama zaś istota rzeczy poznawanych jest i musi być dla poznania naszego niedostępną. Świat zewnętrzny poznajemy jedynie w sobie i ta pewność o istnieniu własnem służy Campanelli za ogólny punkt wyjścia i pod tym względem jest on poprzednikiem Kartezyusza.

Co się zaś tyczy metafizyki i kosmologii, to w nauce Campanelli odnajdujemy zarówno poglądy panteistyczne jego poprzedników jak i pierwiastki neoplatonizmu. Systematowi jego braknie jednak tej siły, tego entuzyazmu, tej wiary wreszcie, które cechują wszystkie dzieła Bruna. Campanellę uważać należy za ostatniego filozofa przyrody Odrodzenia włoskiego. Wprawdzie niektórzy historycy,jak np. Windelband zaliczają tu i Galileusza, nie wydaje mi się to jednak słusznem. Imię Galileusza nierozłącznie jest związane z początkiem nowej ery, ery ścisłych badań przyrodniczych, badań, które stały się podwalinami nowej filozofii przyrody. Galileusz należy już do filozofii nowożytnej, Telezyusz zaś, Bruno i Campanella tworzą w historyi filozofii okres przejściowy. Potrącone tu już wprawdzie zostają struny przyszłości, lecz i przeszłość przemawia jeszcze wyraźnie przez ich usta. Odnajdujemy w nauce ich naukę Pytagorasa, Heraklita, Platona, Stoików, Epikura, wreszcie i neoplatoników. W epoce Odrodzenia filozofia grecka odgrywa jeszcze bardzo wybitną rolę.

Dziwną jest ta epoka. Zamyka się ona raptownie prawie—Włochy wycofują się z udziałem w filozofii niemal zupełnie na czas długi. Złożyły się na to przyczyny natury najróżnorodniejszej—zarówno warunki polityczne jak i sam kierunek, który filozofia nowożytna przybrała i który mniej odpowiadał zdolnościom umysłowym synów południa. Przeminął okres budowania błyskotliwych systematów bez trwałych podstaw—nastąpiła epoka mozolnego zakładania fundamentów pod gmach filozofii przyszłości, opartej na wynikach nauk ścisłych, które powoli, lecz wytrwale rozpoczynają zwycięzki swój pochód.

W historyi rozwoju myśli ludzkiej epoka Odrodzenia wogóle, a włoskiego w szczególności posiada znaczenie wyjątkowo wybitne. Nie mam tu na myśli zdobyczy naukowych, wywierających wpływ decydujący na przyszłość. Zdobycze takie były bezsprzecznie, nie one jednak stanowią epokową potęgę Odrodzenia, jego cechę charakterystyczną. Cechą tą jest niepowstrzymane dążenie do wyzwolenia się z więzów, krępujących myśl ludzką, bezgraniczne poświęcenie w walce o wolność ducha.

Gdy burze dziejowe zmiotły z powierzchni ziemi Grecyę starożytną, ojczyznę wolnych myślicieli,gdy chrystyanizm, wzrastając w powagę i znaczenie moralne, coraz bardziej zyskiwał na potędze i coraz większą władzę zagarniał, wówczas i myśl ludzką wtłoczono w wązkie szranki, których przekroczyć nie było wolno. Kościół stał się samowładnym panem sumienia i myśli. I myśl tę, uśpioną przez wiarę, obudzić miały dopiero pierwsze złote promienie wschodzącego słońca Odrodzenia.

Dr. Jan Babiński.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Faustyna Morzycka: **Powrotne fale**, dziewięć strof powieściowych z życia współczesnego. Str. 226. *Jerwicz*: **Baśń życia**, szkic powieściowy. Str. 164. *Antoni Kamieński*: **Wiosenny poranek**, z notatek lekarza waryatów, z rysunkami autora. Str. 98. *Marya Raczyńska*: **Tancerka z Xois**. Str. 112. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. 1907. *Sabina Natansonówna*: **Pomiędzy ludźmi**, szkice i obrazki. Str. 176. Warszawa, 1907.

Muszę wyznać na wstępie, że nie mam zaufania do wszelkiego rodzaju „strof powieściowych" i „baśni życia". Strofy zwłaszcza melodyj-

ne i piękne, uwielbiam w liryce, baśń, według mnie, powinna być baśnią, nie szkicem powieściowym; dla „szkiców" najlepiej, gdy pozostają w tekach autorów i autorek, a dla powieści — gdy odbijają życie, to potężne, gwarne i ruchliwe, jak fala morska, życie, a nie różne napół uświadomione i napół uchwytne marzenia, nie liczące się prawie wcale z rzeczywistością.

Nie znaczy to zresztą, abym nie uznawał poezyi w literaturze powieściowej. Przeciwnie, zachwycam się nią n. p. w „Germinalu" Zoli, w „Chłopach" Reymonta, w „Ludziach bezdomnych" i „Popiołach" Żeromskiego, gdzie łączy się ona harmonijnie z realizmem wspaniałym. Nużą mnie jednak zawsze i wszędzie zapędy sentymentalno-deklamatorskie powieściopisarzy, a częściej jeszcze powieściopisarek, naginających świat cały i panujące w nim stosunki, a przedewszystkiem duszę ludzką, do mniej lub więcej dźwięcznego frazesu, który wydaje mi się wyrazem bądź nieznajomości życia, bądź też nieumiejętności odtworzenia w formie powieściowej jego istotnej treści. I dodam odrazu, że poglądów tych moich czy uprzedzeń nie usunęły, niestety, ani „Powrotne fale" p. Faustyny Morzyckiej, ani „Baśń życia" p. Jerwicza, choć skądinąd obie książki świadczyć mogą jak najlepiej o bogactwie wewnętrznem, o kulturze umysłowej i uczuciowej swych autorów, niezdolnych tylko, a przynajmniej nie wykazujących tej zdolności w wymienionych utworach, do odczucia i plastycznego odtworzenia rzeczywistości życiowej.

P. Faustyna Morzycka jest zasłużoną autorką wielu przystępnych opowiadań i dziełek popularno-naukowych dla ludu. W tamtych pracach swoich umie być zrozumiałą i trzymać się ziemi; w swych „dziewięciu strofach powieściowych", wyśpiewanych rzekomo z życia współczesnego, buja przeważnie po obłokach. Czego chce, do czego dąży jej bohaterka — piękna (naturalnie!), sentymentalna, nieszczęśliwa Tola, córka doktora Emilii Broniewskiej Jakobi, właścicielki zakładu leczniczego w Szwajcaryi — nie będziemy usiłowali rozwikływać, gdyż ani jej marzeń dziecięcych o powrocie do kraju w koronie królewskiej, ani późniejszych mało prawdopodobnych tęsknot i przygód miłosnych, traktować poważnie niepodobna. Niema w tem wszystkiem tętna krwi, nie słychać głosów życia, tylko frazes, wszechwładny frazes!

Oto n. p. panna Tola pragnie miłości. Ale jak! „Jak śnieżna konwalia cieniu dąbrowy; jak niezabudka *rzeźwości* rodzinnego strumienia, jak kwiat każdy rosy karmicielki; jak powój podpory, jak serce słowicze pieśni wieczornej, jak znużona głowa spoczynku, jak przeładowana elektrycznością chmura burzy, błyskawic i gromów". Czy po tym długim szeregu porównań czytelnicy zdają sobie sprawę, jak panna Tola pragnęła miłości? Mnie, przyznam się, niewiele one wyjaśniły, choćby dlatego, że inaczej chyba znużona głowa pragnie spoczynku, inaczej serce słowicze pieśni wieczornej, inaczej znów powój podpory. Więc po co ten cały potok słów! Wyszukane nieraz porównania i przenośnie p. Morzyckiej mają to do siebie, że niczego nie uplastyczniają, są więc co najmniej zbyteczne, czasem dziwaczne i śmieszne. Gdy czytam n. p. o „soczystej i pełnej, jak samo uosobienie harmonii", muzyce w La Scala, to wiem tylko, że owa soczystość i „uosobienie harmonii" nic absolutnie nowego o tej muzyce nie mówią, ale gdy się dowiaduję o matce bohaterki, że „w szary, drobny, codzienny pyłek powszednich trosk sypie się obficie *zwierzchni naskórek jej ducha*", to zaczynam być zaniepokojonym poważnie, co ten frazes może znaczyć, — i w niepokoju tym trwam aż do chwili obecnej.

O najzwyklejszych, najprostszych rzeczach autorka mówi z patosem koturnowym. Fakt n. p., że panna Tola studyować zaczęła przyrodę, obwieszczony zostaje następującym frazesem: „klasycznie piękna, posągowo-zimna, przemądra Atena rozwarła przed nią gościńce, w nieskończonych niknące dalach, jasne i pewne wszechpotężnej wiedzy". Dodajmy do tego fatalną manierę nadawania zdaniom toku rytmicznego, i to nietylko w chwilach, odtwarzających uniesienie ducha, lecz i w najpospolitszem opowiadaniu: „Długiemi ramiony opłotła kościste kolano, brutalnie ostrym konturem z czarnej sterczące spódnicy". Dodajmy i to, że sytuacye są w „Powrotnych falach" nieprawdopodobne, charaktery niewyraźne lub zgoła niemożliwe, język monotonny, nienaturalny, napuszony, a jednak tu i owdzie niepoprawny i zaniedbany. Nie uniknęła n. p. autorka tak niemile w prozie brzmiącego rymu („I sama całym pędem swej młodej istn*ości* ku szalonemu odczuciu żywiołowej rzuca się rad*ości*), w paru miejscach nieprawidłowo używa przypadków („Bo widzi signora, ja tak strasznie żałuję *to biedactwo*". Nawet *ten język polski*, tak przez nich *ukochany*, wielu *niechce* już uważać za swój rodzinny" itp.). Wszystko to razem sprawia, że przy czytaniu „Powrotnych fal" doznaje się nieraz uczucia — znużenia.

Chętnie zresztą przyznaję, że utworowi całemu przyświeca idea miłości kraju, do którego panna Tola po przygodach różnych powraca, aby mu służyć ofiarnie, objąwszy dziedzictwo ducha zgasłego w walce kochanka. W rozdziałach końcowych, gdzie autorka maluje pochód z czerwonym sztandarem, „zakrzepłej krwi szmatem", mimo mętność, cechującą zresztą utwór cały, są miejsca żywe i ładne, ze wzruszeniem widocznem pisane. Nie sądzę tylko, aby p. Morzycka wierzyła naprawdę, że owe — jak mówi w jednem miejscu — prawdy, głąb duszy żrące i wylewające się w pobudki płomienne, powstają „na miękkich fotelach wygodnych, przy kawie mocnej i słodkiej"... W każdym razie po zarzutach i wyrzutach różnych autorka pyta w końcu: „Kto powie, jakiej kroplą krwi grunt użyzniony wyda najpożądańszy plon — cel?" I retoryczne to pytanie, choć mniej dźwięcznie od innych sformułowane, jest może najgłębsze z tych, które się przy pisaniu „Powrotnych fal" nasunęły.

„Baśń życia" p. Jerwicza to jeszcze jedna odmiana sienkiewiczowskiego „Janka-muzykanta". Sentymentalna historya zmarnowanego życia, przedwcześnie zgasłego poety-garbuska, który zresztą nie doznaje braków i prześladowań, jak jego pierwowzór, lecz — otoczony dostatkiem i opieką kochającej matki, więdnie i schnie powoli, niby roślina południowa, nieumiejąca przystosować się do zimnego klimatu północy. Ten szkic powieściowy, pisany naogół językiem naturalniejszym dużo, niż „Powrotne fale", a miejscami ładnym zupełnie, nie liczy się jednak również z wymaganiami prawdy życiowej, a w odtworzeniu stosunku między matką i synem kieruje się przeważnie wszechwładnem *Sic volo* autora, którego pseudonim męski nie odebrał pióru wielu ujemnych cech, spotykanych zwykle u początkujących powieściopisarek i nowelistek.

Cała postać pani Leny, pełna niedomówień i westchnień, nieokreślonych tęsknot i pragnień, jest szczytem dowolności autorskiej, unoszącej się ponad życiem z pensyonarską niemal naiwnością. Dość przypomnieć tę scenę, gdy do łóżka matki przynoszą kilkudniowego zaledwie syna, do którego ona z początku czuje niechęć dziwną. „Odtrąciła rękę niańki. Twarzyczka dziecka ściągnęła się w grymas, duże łzy spłynęły z oczu, piąstki uniósł w górę w niemym jęku i łkał dalej cichym, bezgłośnym płaczem". To parodniowe dziecko, zalewające się łzami cichemi, jest co najmniej równie prawdziwe, jak jego matka, która w parę lat potem, mieszkając w dużem mieście, w zwykłem otoczeniu zamożnego domu, na dźwięk dzwonów, bijących na pasterkę, dowiaduje się dopiero od służącej, że to dziś Boże Narodzenie". „Nawet nie mam opłatka — tłumaczy się naiwnie przed gościem — ale doprawdy nie zauważyłam, że już zima i święta"... Dziwne, istotnie, roztargnienie.

Nie wszystko zresztą w szkicu powieściowym p. Jerwicza utrzymane jest w tym stylu. Niektóre spostrzeżenia i uwagi podrastającego Julka i jego stosunek do otoczenia budzą zajęcie, a poezye prozą, jak nazwać by można drobne urywki, składające się na pisaną rzekomo przez garbuska „Książkę smutną dla wesołych ludzi, a wesołą dla smutnych", czyli „uwagi o życiu tego, który nigdy nie żył", są nawet naprawdę ciekawe i ładne, choć luźnie bardzo łączą się z resztą utworu, niby jakieś intermezzo liryczne. Szkoda, że sama „Baśń życia", jako całość, wywiera również zbyt często wrażenie — uwag o życiu tej, która jeszcze nie żyła naprawdę.

W zupełnie odmienną, choć na pozór pokrewną dziedzinę przenosi nas p. Antoni Kamieński w wymyślnie wydanym „Wiosennym poranku", w którym, co prawda, pogody i wiosny niewiele. Autor jest znakomitym twórcą w innej sferze artyzmu. We wspaniałych kartonach swoich wyśpiewał już pełną goryczy „Pieśń o życiu", a Ignacy Matuszewski w ostatnim zbiorze swych studyów i szkiców estetyczno-literackich („Twórczość i twórcy"), mówiąc o jego wielkich kompozycyach rysunkowych, podkreśla w nich z jednej strony ponury smutek i pesymizm beznadziejny, z drugiej literacki charakter twórczości i dodaje na zakończenie: „Czy Kamieński należy więcej do malarstwa, czy do literatury — nad tem zastanawiać się nie będziemy. Jest on przedewszystkiem sobą, a prócz tego prawdziwym poetą, poeta zaś — czy użyje do uzmysłowienia swoich uczuć i myśli — słów, czy barw, czy linii, czy tonów, zawsze pozostanie poetą, t. j. jednostką, zasługującą na podziw i szacunek".

Nie idąc zresztą tak daleko, nie mając wątpliwości co do natury talentu Kamieńskiego, przyznać musimy, że każdy utwór jego, nie wchodzący nawet w zakres ściśle branej specyalności znakomitego artysty, musi być ciekawym, jako pewnego rodzaju dokument, pozwalający nam zajrzeć głębiej w duszę twórcy, poznać jego poglądy na życie i sztukę. „Wiosenny poranek" nadaje się do tego celu tym więcej, że autor maluje w nim szamotanie się pełnego zapału i umiłowania sztuki rzeźbiarza z obojętnością i bezmyślnością otoczenia, przytłaczającego w końcu talent wybitny, a pewne szczegóły przypuszczać pozwalają, że opowiadanie to, podobnie jak głośny karton p. t. „Niedokończone dzieło", zawiera i rysy autobiograficzne.

Pod względem czysto literackim pierwsza połowa opowiadania o losach zamieszkującego w oborze rzeźbiarza i jego sympatycznej sąsiadki Zosi — rozwija się normalnie; druga, pełna gorzkich refleksyj i roztrząsań, jest raczej wyrazem niezobjektyzowanego jeszcze fermentu wewnętrznego autora, mówiącego z entuzyazmem o sztuce i usiłującego odtworzyć jeden z tych dylematów tragicznych, stających nieraz przed artystą prawdziwym. „Mnie może ocalić tylko szczęśliwy wypadek, który będzie moim losem — woła bohater opowiadania — dalsza walka w tych warunkach jest niemożliwą; jeżeli w dalszym ciągu zacznę „uczciwie" robić pieniądze, frymarcząc sztuką — jako artysta — muszę zginąć — nie chcę tego!"... Pogląd autora na stosunek tłumu do sztuki illustruje wymownie jedna z winiet, zdobiących jego

książkę. Widzimy tam fragmenty posągów klasycznych na tle pięknego krajobrazu nadmorskiego, a u podstawy jakiejś strzaskanej kolumny dwoje zwierząt, z których jedno uderza w marmur kopytem, drugie spokojnie ryje wśród kwiatów... Poszczególne sceny „Wiosennego poranka" zilustrowane zostały przez autora w szeregu rysunków, które są wprost świetne.

Artystką zrównoważoną, świadomą swych środków i panującą nad nimi, umiejącą wyszukiwać tematów pięknych i zachowywać przy ich rozwijaniu miarę właściwą, jest p. Marya Raczyńska—w szeregu krótkich przeważnie utworów swoich, objętych wspólnym tytułem najdłuższego z nich—„Tancerka z Xois". Daleka od szarzyzny życia codziennego, autorka wędruje swobodnie po rozległych dziedzinach przeszłości, cofając się aż do momentu, w którym „wszechwładny Waruna" stworzył pierwszą kobietę, dążącą przez cierpienia do człowieczeństwa i zasypiającą przy mężu z obrazem w duszy smutnej postaci szatana, otulonego w cień płowych, ogromnych skrzydeł, i jego zimnych mądrych oczu, i bolesnego uśmiechu zwartych warg, gdy odchodził od niej odepchnięty... Zatrzymuje się potem na chwil parę to w Indyach starożytnych dla skreślenia pięknej legendy o Krysznie, to w Egipcie z czasów Amenemhata I z dynastyi dwunastej, to w Jerozolimie w epoce przemądrego Salomona i przepięknej królowej Saby, to w starożytnym greckim Efezie dla oryginalnego przetworzenia znanego podania o Herostracie, to wreszcie w celi ascetki średniowiecznej lub w słonecznej Florencyi z czasów Odrodzenia. Z wędrówki tej przynosi autorka, niby garść kwiatów wonnych, szereg opowiadań, pisanych językiem pięknym i pełnych poezyi, wolnej od deklamatorstwa i pozy a tchnących przytem bądź żarem namiętności miłosnej, bądź uniesieniem religijnem, bądź gorącem ukochaniem sztuki, bądź wreszcie wytwornym sceptycyzmem życiowym, jak owo opowiadanie o Herostracie lub inne o apostole prawdy, ginącym dla niej w starożytnym Egipcie przed czterema tysiącami lat.

„Za prawdę idę na śmierć, o piękna Neita-fer,—woła bohater opowiadania—albowiem ludzie nie dorośli jeszcze do tego, by módz jej słuchać spokojnie—może za jakie dwa, trzy tysiące lat"... I przeszedł mimo, z twarzą rozjaśnioną nadzieją, że za jakie dwa, trzy tysiące lat... „A działo się to, dodaje autorka, przeszło cztery tysiące lat temu, obecnie zaś jesteśmy w XX wieku ery chrześcijańskiej"...

Trudno o większy kontrast od tego, który zachodzi między pięknemi opowiadaniami p.M.Raczyńskiej a „szkicami i obrazkami" p. Sabiny Natansonówny, zawartymi w jej nowym zbiorze p. t. „Pomiędzy ludźmi". Tam oryginalność, poezya, artyzm, tu—pospolitość, nieudolność, melodramatyzm lub szarzyzna, upstrzona takimi n. p. kwiatkami językowymi: „Pani sama uczyła ją czytać, pan bawił się, ucząc *różne sztuki* razem z ulubionym swym psem myśliwskim (str. 118)", lub: „Jednego dnia dostała *silny krwotok*" (str. 172). Do całego zbioru zastosowaćby można motto z Krasickiego, umieszczone trafnie przez autorkę na jednem z opowiadań: „Chociaż wszystko to być może, ja to między bajki włożę". Nagromadzeniem efektów melodramatycznych w połączeniu z tendencyą wsteczną „wyróżnia się" kończące książkę opowiadanie p. t. „Nowy ład". I pozostałe zresztą „szkice i obrazki", malujące np. miłość między szlachetnym ogrodniczkiem i baronówną o instynktach zbrodniczych, okrutnych kochanków, nieszczęśliwe ofiary dążeń do szczęścia i inne mało prawdopodobne okropności, nie wytrzymują najpobłażliwszej krytyki. Pomijając wszystko, oto np. próbka stylu: „W skromnych jego salonach zbierała się cała śmietanka towarzystwa miejskiego, *które* z wdziękiem przyjmowała pani Żabczyńska wraz z trzema córkami, *które* w całej okolicy znane były tak z piękności, jak i z wykształcenia". Tak pisać nie wolno już nawet w klasie czwartej na pierwszej lepszej pensyi warszawskiej. Styl zresztą nie jest jeszcze stroną najsłabszą mało zaiste obiecującej autorki...

Wł. Bukowiński.

POEZYE

Szczęście.

Stanęło szczęście u moich wrót,
Chłopiec je drobny za rękę wiódł.

Poznałem gościa dalekich stron:
Serce mi wzięło najwyższy ton.

Wraz dzień oniemiał i eter zcichł.
Prosiłem gościa do progów mych.

Rzecze: wędrowny, lękliwy ptak,
Pragnę mieć serca twojego znak.

Powiem: o gościu, wybierać chciej:
Oto wierzeje skarbnicy mej.

Zniosło tu serce pamiątek huf,
Ciężkie zbroice bolesnych snów.

Porozkładało w magiczny krąg
Herby zawisłe tęsknot i mąk.

Leżą w zawoju żałobnych krep:
Pieśń, którą dziecko kołysał step.

Młodość w dyamentu zawarta świt,
Zastygły w opal marzenia myt,

Rzezany kunsztem niewieścich łask
Tarczy serdecznej herbowy blask...

— Trzeba mi — rzecze — by lęk mój [zczezł,
Jedynej szczerej z kobiecych łez.

— Gościu — ten kryształ wspomnienia [stłucz:
Tam nieco ślozu niewieścich ócz.

Bryzgnęły krople w rzeźbiony lej.
Szukali razem jedynej tej.

. . . .

Odeszło goście od moich wrót.
Chłopiec je drobny za rękę wiódł.

Mamert Wikszemski.

Z prasy polskiej.

Przegląd Poranny pisze:

Według wszelkiego prawdopodobieństwa polscy postępowcy, gdyby chcieli do wyborów przystąpić znaleźliby się na pozycyi, ku której skierowany będzie podwójny jeżeli nie potrójny ogień. Oprócz nacyonalizmu endeckiego i skrajnej koalicyi, występują przeciwko nim coraz gwałtowniej i nacyonaliści żydowscy, którzy zdecydowani są iść swojemi torami i rozwinąwszy własny sztandar przeciwstawić się wszelkim hasłom i wszelkim dążeniom, któreby nie były hasłem i dążeniem czysto żydowskiem. Mogliby wprawdzie postępowcy według pewnej teoryi, która teraz jest w modzie próbować „przeważać" szalę, i cieszyć się właśnie z tego „wyjątkowo szczęśliwego położenia"; nie sądzimy jednak, aby ta mądrość stanu, tyle sławiona przez p. Dmowskiego, miała zyskać w obozie postępowym wdzięcznego ucznia.

Miejmy nadzieję, że placówka, zajęta przez postępowców utrzyma się przy nadchodzących wyborach w charakterze czysto obronnym. Nie mogą oni zaniedbać obowiązku oświetlania pola walki krytycznemi reflektorami własnego przekonania i najlepszej swojej wiary i wiedzy—ale wszelkie ataki mandatowe do urn wyborczych, czy to w „świetnym odosobnieniu", czy też co gorsze w jakichkolwiek nienaturalnych sojuszach i porozumieniach, uważalibyśmy w danych warunkach za awanturniczość polityczną, nietylko bezcelową, ale wprost mogącą przynieść niepowetowane szkody zadaniom ideowym i kulturalnym stronnictwa.

Nie znaczy to oczywiście, aby zachować postawę martwej, apatycznej i biernej obojętności i aby wstępować w półcień, umywając ręce na znak, że się nie przyjmuje odpowiedzialności za tok spraw publicznych. Przeciwnie, nie powinno być w okresie przedwyborczym ani jednej chwili, w którejby zabrakło głosu: „jesteśmy!" ze strony postępowców polskich. Tem silniejsze jednak wrażenie ten głos wywrze, gdy towarzyszyć mu będzie zupełna bezinteresowność w zakresie partyjnych ambicyi...

KRONIKA.

Sprawy polityczne i społeczne. *Petersb. Listok* [illegible], że przemysłowcy coraz energiczniej domagają się przyśpieszenia wydania nowego prawa o strajkach.

— Towarzystwo wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych „Przyszłość" zostało zalegalizowane.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż na uroczystem zebraniu członków związku „n.-r.", odbytem w d. 14 b. m. w Petersburgu, mnich Arseniusz przemawiał przeciwko Polakom. Po mowie Dubrowina rozległy się okrzyki: „Precz z Polakami i żydami!"

— Śród szlachty rosyjskiej zarysowuje się, zdaniem *Kijewskoj Myśli*, coraz większe niezadowolenie ze zjednoczonej organizacyi wszechrosyjskiej i jej ideałów politycznych, wyrażonych tak dobitnie na zjeździe moskiewskim. W celu przeciwwagi projektowany jest wkrótce zjazd gubernialnych marszałków szlachty.

— Centralne biuro rosyjskich związków zawodowych — donosi *Kij. Myśl* — nie rozstrzygając kwestyi, czy robotnicy mają uczestniczyć w wyborach,

zaproponowało im pospieszyć się z zapisaniem do list wyborczych.

— Został zalegalizowany drugi „Związek równouprawnienia kobiet“ z działalnością na Królestwo i Cesarstwo, którego założycielkami są panie: Bojanowska, Czarnecka, Gebethnerówna, Reinschmidt-Kuczalska i Weychertówna. Informacyi udziela redakcya *Steru*.

— *Smol. Wied.* donoszą, że w ostatnich czasach wśród prawdziwie rosyjskich ludzi zwaśniły się niesnaski.

— Mieszkańcy gminy kupreliskiej w pow. poniewieskim przysłali prośbę do gubernatora kowieńskiego, ażeby sklep monopolu wódczanego został zniesiony „gdyż ludziom porządnym obrzydło go pilnować i dozierać, wódką uczęstowani pijacy rozbijają sobie bowiem głowy kamieniami.“

— W Wilnie odbyły się narady przedstawicieli lewych partyj żydowskich w sprawie udziału w wyborach. „Bund“ i syoniści mają podobno wziąć w nich udział, inne partye będą bojkotować.

— *Robotnik*, organ frakcyi rewolucyjnej P. P. S., zapowiedział w imieniu swego stronnictwa bojkot wyborów do Dumy państwowej.

— *Swobodnaja Myśl* donosi, że w Petersburgu powstał klub stowarzyszenia, które postawiło sobie za zadanie „rozwój i propagandę idej erotycznych“. Liczba członków wzrasta podobno bardzo szybko pomimo niezwykle wysokich wkładek członkowskich.

— *Towarzysz* donosi, że centralny komitet socyaldemokracyi rozesłał do wszystkich oddziałów cyrkularz o przymierzu ze stronnictwami opozycyjnemi przy nadchodzących wyborach w miastach, gdzie głosowanie odbywa się bezpośrednio. Cyrkularz proponuje występować samodzielnie; w razie zaś powtórnego głosowania uznaje możność bloku wyborczego. W kuryi robotniczej niedopuszczalne są żadne bloki z wyjątkiem socyalistów ludowych. Platformę wyborczą opracuje konferencya partyjna, zwołana na dzień 2 sierpnia. Wszystkie atoli te prace przygotowawcze nie decydują jeszcze o samej kwestyi bojkotu, o którem ostatnie zdanie wypowie również konferencya powyższa.

— Komisya, obradująca nad projektem samorządu miejskiego i ziemskiego w Królestwie Polskiem, wznowiła swą działalność po 7 miesięcznej przerwie.

— Główny zarząd więzienny wyjaśnił, że więźniowie, zostający pod śledztwem, mogą zawierać małżeństwa tylko w warunkach wyjątkowych: jeśli np. narzeczona jest w stanie błogosławionym, lub więźniowi grozi utrata praw stanu a zechciałby je przekazać żonie i dzieciom naturalnym.

Zaburzenia i zamachy. Dn. 14 lipca dokonano zamachu na pomocnika naczelnika więzienia śledczego na Pawiaku, Nikorycza: strzelano do niego z brauninga, raniąc ciężko w głowę, bok i lewą rękę. Domniemanego uczestnika napadu aresztowano, przyczem on wystrzałem w usta chciał odebrać sobie życie, lecz tylko ranił się niezbyt groźnie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych wyasygnowało 10,000 rb. na nagrody dla funkcyonaryuszów policyi warszawskiej, którzy zostali ranieni podczas tłumienia zaburzeń.

— Z więzienia policyjnego w magistracie w Radomiu wykradziono nadzwyczaj zręcznie przyprowadzoną tam etapem w partyi więźniów politycznych, wiezionych z Warszawy do Chęcin uwięzioną Zofię Fijałkowską.

— W Krasnojarsku wykryto wielką i dobrze zorganizowaną drukarnię socyalistów-rewolucyonistów; znaleziono wiele literatury, uwięziono 3 osoby z fałszywymi paszportami.

— W Pabjanicach zabity został robotnik, członek związku „Jedność“, Roch Śmiały, przez człowieka, który w ten sposób załatwić chciał z zabitym swoje rachunki osobiste. Robotnicy, dowiedziawszy się o tem, oblegli zabójcę w jego kryjówce i zaczęli dom ostrzeliwać. Strzały te zwabiły kozaków, którzy dowiedziawszy się o co chodziło, połączyli się ze strzelającymi. Po upływie godziny oblegany, który odstrzeliwał się gęsto, poddał się. Podobno do bezbronnego już dano kilka strzałów, wskutek których zmarł w szpitalu.

— W Duninowie, w pow. gostyńskim [illegible] wtargnęło do sklepu monopolowego; [illegible] oni sporą ilość butelek i zabrali 518 rb. z kasy. Z takiego samego napadu na monopol w Koluszkach wyniesiono 520 rb. gotówką.

— W Iweńcu, w pow. mińskim, Polacy postawili krzyż katolicki na placu przed cerkwią. Naczelnik ziemski nakazał krzyż usunąć. Tłum stawił opór. Strażnicy dali salwę; w tłumie byli zabici i ranni. Raniony też został komisarz, kilku strażników zostało potłuczonych. Krzyż usunięto.

— W synagodze w Bobrujsku znaleziono 8 gotowych bomb.

— Pod Makowcem łomżyńskim 12 ludzi napadło na wóz pocztowy. Zrewidowali wszystkie przesyłki i, nie znalazłszy pieniędzy, odeszli.

— W Radomiu zabito dowódcę II roty mohylowskiego pułku piechoty, kapitana Samsonowa w chwili, kiedy szedł ulicą z żoną i córką.

— W Czycie z rozporządzenia władz miejscowych rozwiązane zostało stowarzyszenie p. n. „Koło polskie“; kasę „Koła“ skonfiskowano, a prezesa, p. Pawła Trzcińskiego, miejscowego sędziego pokoju, po[illegible].

— Z Mitawy donoszą, że 146 wyższym i niższym urzędnikom policyi rozdano znaczne nagrody pieniężne za aresztowanie ważnych przestępców, terrorystów, wykrycie komitetów rewolucyjnych, oraz gorliwe sprawowanie trudnych obowiązków służbowych.

— W redakcyi czasopisma „Przyszłość“ dokonano rewizyi i zabrano księgi członków świeżo zalegalizowanego towarzystwa „Przyszłość“, poświęconego walce z alkoholizmem.

Aresztowania i kary. Dziewiętnastoletni Chil Kimelman, skazany na śmierć pod zarzutem zabójstwa policyanta, następnie ułaskawiony ze zmianą wyroku na dożywotnie ciężkie roboty, w drodze na miejsce kary zachorował ciężko i zmarł.

— W Petersburgu w więzieniu celkowem „Kresty“ został zastrzelony przez wartownika więzień Rutkowski, który z okna swojej celi rozmawiał z innymi więźniami i zejść nie chciał. Wskutek tego zabójstwa wśród więźniów zaszły rozruchy. Przybyło wojsko i dało drugi wystrzał do okna. Raniony został więzień polityczny Alfozof. Rozruchy uśmie[illegible].

— Każdej nocy i każdego dnia w Warszawie prasa notuje powtarzające się liczne rewizye i aresztowania.

— W Sosnowcu w domach familijnych kopalni „hr Renarda“ policya zrobiła rewizyę i 6 robotników aresztowano.

— Dn. 17 lipca w warsztatach kolei nadwiślańskich policya wraz z agentami „ochrany“ aresztowała 6 pracowników kolejowych.

— W Zagłębiu Dąbrowskiem aresztowano 19 uczestników wesela, które wyprawiał robotnik. Na wolność wypuszczono tylko kobiety. Niektórzy z obecnych chcieli się ratować ucieczką przez okno, lecz zatrzymała ich salwa karabinowa zewnątrz do[illegible].

— Z powodu zabójstwa strażnika w Sosnowcu uwięziono około 30 osób.

— W ciągu czerwca, jak twierdzi *Towarzysz*, w Petersburgu aresztowano 2000 osób, wśród nich 180 kobiet.

— Aresztowani członkowie redakcyi „Zagona“ wraz z redaktorem p. Stanisławem Osieckim zostali wypuszczeni z więzienia z wyrokiem jedni wyjazdu za granicę, drudzy w głąb Rosyi.

— Feliks Strzałkowski, Hersz Samulewicz, Roman Pigalski i Roman Kowalski, zostali skazani przez sąd wojenny na karę śmierci za zabicie dwóch strażników i bezkrwawy zamach na trzeciego.

Bandytyzm. Na buchaltera fabryki wyrobów metalowych Karola Witte napadło przed samą fabryką trzech bandytów; rzucili go oni na ziemię i odebrali mu 375 rb. Na krzyk napadniętego wybiegli robotnicy i puścili się w pogoń za bandytami. Jednego z nich ujęto na strychu, schowanego za kamień.

— W Odesie na pokład parostatku „Sofia“ wtargnęło o 11 w nocy 18 ludzi, którzy zawładnąwszy statkiem, zrabowali 51000 rb. z górą, następnie wyrzucili w morze węgiel, popsuli maszynę, wypuścili parę, wyrzucili kompasy, dzwon, kotwicę i zabroniwszy pod groźą wysadzenia statku w powietrze, dawania sygnałów w ciągu dwóch godzin, zabrali dwie szalupy i odpłynęli na pełne morze. Poszukiwania napastników nic nie przyniosły.

— W Łodzi napadnięto na fabrykanta Andrzeja Nitschego i raniono go śmiertelnie. Na Bałutach zabito właściciela domu. W Pabjanicach zabito fabrykanta drzewa, Berlińskiego.

— *Kuryer Lubelski* pisze, że między Puławami a Kazimierzem kilku opryszków trzyma w trwodze całą okolicę. Napadli oni na bryczkę, w której jechało kilka osób i zażądali wydania pieniędzy. Jeden z podróżnych oparł się temu żądaniu, ściągnęli go więc z bryki i uprowadzili do bliskiego lasu. Co się dalej z nim stało, poszukiwania nie odkryły.

— W Łodzi raniono śmiertelnie właściciela domu, który sądownie wyrzucił lokatora z mieszkania.

— Dwudziestu kilku bandytów napadło na dwór w Kiełbowie w powiecie radomskim i w sposób straszny, znęcając się i pastwiąc, zamordowało właściciela Michała Ciemniewskiego. W pieniądzach i kosztownościach zbóje uwieźli około 10 tys. rubli.

— Do kantoru fabryki Wiślickiego w Łodzi wtargnęło trzech ludzi i kilku wystrzałami z rewolweru raniło ciężko dyrektora tej fabryki, B. Lipszyca. Związek robotników wydał odezwę, potępiającą ten czyn.

— W pociągu idącym z Charkowa ograbiono kupcowę Dubrowinowową na sumę 1,214,895 rb. Do przedziału, w którym znajdowała się sama, złodziej w biegu pociągu wszedł przez okno, wyrwał jej woreczek i zbiegł tą samą drogą.

Strajki i lock'outy. Dziewięciotygodniowy lock-out właścicieli pracowni ubrań kobiecych zakończył się zwycięstwem robotników. Majstrowie przyjęli 8-mio godzinny dzień roboczy.

— Fabrykanci wstążek jedwabnych w Łodzi zgodzili się podwyższyć płacę robotników o 5%. Pomimo to strajk trwa dalej.

Sprawy szkolne i oświatowe. W r. 1906 ministeryum oświaty skasowało przepis z 1835 r., na mocy którego świadectwa na stopień nauczyciela domowego, wydawane w Królestwie, były nieważne w innych miejscowościach państwa; obecnie zaś nastąpiło wyjaśnienie, że rozporządzenie to stosuje się i do świadectw nauczycielek domowych z Królestwa Polskiego.

Literatura i sztuka. Muzeum nauki i sztuki w Wilnie wypuściło odezwę do społeczeństwa, w której wzywa je do podtrzymania instytucyi i wykazuje jej niezbędność i użyteczność.

Prasa. Wszczęto dochodzenie karne przeciw redaktorom gazety *Ruś*, *Birż. Wied.* i *Pieterb. Listok*.

— Wydawnictwo *Ludu roboczego* i *Myśli polskiej* zostały zawieszone z rozkazu generał-gubernatora na cały czas trwania stanu wojennego.

— Redaktora *Rieczi*, Choritonowa, pociągnięto do odpowiedzialności sądowej. Skonfiskowano czerwcowy zeszyt *Russkowo bogatstwa* a redaktora Jelpatjewa pociągnięto też do odpowiedzialności sądowej.

Koleje i komunikacye. Wskutek ulewnych deszczów ostatnich czasów plant kolejowy na niektórych kolejach został podmyty i komunikacya w wielu miejscach przerwana.

Katastrofy. W pow. czerkaskim, w gub. Kijowskiej straszliwy huragan z deszczem zniszczył w trzech wsiach ogrody warzywne i zboże, zerwał młyny, zginęło mnóstwo ptactwa i drobnego inwentarza żywego. Gdzieindziej prócz tego ulewy zniszczyły sianokosy. Pioruny zabiły kilku pastuchów.

— W wielu miejscowościach południowej Rosyi ulewy zniszczyły zboże i trawy, grad spustoszył siące dziesięcin zboża ozimego i jarego.

— W różnych powiatach gubernii połtawskiej ukazały się dwa rodzaje gąsienic, jedne niszczą wszystko, drugie — tylko chwasty.

— Podczas kiedy w Europie panują zimne nawałnice i burze gradowe, w Stanach Zjednoczonych Ameryki upały są niezwykłe i ludzie giną od porażeń słonecznych.

Zmarli. W Paryżu zmarł powieściopisarz Hektor Malot.

OGŁOSZENIA.

Wydawca i redaktor: **Paulina Sieroszewska**. Sekretarz redakcyi: **Mamert Wikszemski**.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.